

Wiktor Sucharski

ul.Chrobrego 12 m 30.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłem się w Kruszewie 15 września 1928-go roku. Moja rodzina pochodziła z Wielkopolski a Kruszewo stało się dość przypadkowym moim miejscem rodzinnym. Ojciec mój przyjechał tu, na tereny wschodnie, z poznańskiego. Z zawodu był nauczycielem. W 1931-ym rodzina przeprowadziła się do podbiałostockiego Księżyna, gdzie ojciec podjął pracę nauczycielską w miejscowej szkole powszechnej. Tu, w Księżynie, mieszkaliśmy od roku 1931-go do 1939-go.

W 1933 roku podjęto budowę nowej szkoły powszechnej w Księżynie, która zresztą jest rozbudowywana i obecnie. Współinicjatorem i współorganizatorem tej budowy był mój ojciec.

Nadal pozostaje otwarte pytanie: dlaczego ojciec znalazł się w wschodniej Polsce, skoro jego rodzina wywodziła się z poznańskiego. Ojciec urodził się w roku 1901-ym a w 1920-tym zdał maturę. Jak bardzo wielu jego rówieśników ze środowiska młodzieży gimnazjalnej - zgłosił się do wojska w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920-tym roku. Właśnie w czasie działań wojennych poznał bliżej wschodnie tereny Polski. W archiwum rodzinnym posiadam zdjęcie ojca wykonane w Grodnie. Wykonano je chyba w czasie wspomnianej wojny polsko-bolszewickiej bo nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek później ojciec jeździł do tego miasta. Najprawdopodobniej było to w roku 1921-ym. Stąd przypuszczam, że ojciec już wówczas podjął decyzję przeniesienia się na te tereny. Wprawdzie nigdy z nim o tym nie rozmawiałem ale jestem prawie pewien, że w tym wyborze ojciec kierował się odruchem dyktowanym przez jego patriotyzm. Widział bowiem doskonale zapóźnienie cywilizacyjno-gospodarcze terenów położonych na wschód

od Wisły i zapewne uznał, że przede wszystkim tu jest potrzebny. Prawdą jest, że w 1923-cim roku studiował prawo, czego niezaprzeczalnym dowodem jest jego legitymacja studencka z tego właśnie roku, wystawiona przez Uniwersytet Warszawski. Czy i ewentualnie kiedy skończył studia, nie potrafię odpowiedzieć, gdyż żadne dyplomy nie zachowały się a mnie, przed wojną, te sprawy tak bardzo nie interesowały. Nie dociekałem ani znajomości faktów z tym związanych ani przyczyn. Ojciec miał na imię Czesław a w pamięci miejscowej ludności zapisał się dość dobrze. Dowodem tego jest ubiegłoroczna / kwiecień 1990 / uroczystość w Księżynie. Otóż udoświadczniłem listy mojego ojca / załącznik . / panu Adamowi Dobrońskiemu, który publikował je w Kurierze Podlaskim. Szkoła w Księżynie, w której przed wojną pracował mój ojciec, zainteresowała się tym / dokładnie nauczyciele tej szkoły / w archiwum szkolnym odnaleziono nawet arkusze ocen z okresu pracy mojego ojca. Przeprowadzono wywiady z miejscowymi ludźmi, ówczesnymi uczniami, dziś już ludźmi starszymi, dziadkami.

W tej atmosferze powstał zamysł ufundowania tablicy pamiątkowej. Wkrótce ją wykonano, okazała się bardzo ładna. Właśnie w ubiegłym roku dokonano jej odsłonięcia i poświęcenia. W podniosłej uroczystości uczestniczyli przedstawiciele władz kościelnych, władz oświatowych i miejscowe społeczeństwo. Jak mi wiadomo, władze oświatowe czynią starania, aby szkoła otrzymała imię mojego ojca.

Szkołę budowano bardzo szybko, jeśli wziąć pod uwagę ówczesne techniczne uzbrojenie pracy. Kiedy ja, w 1935-tym roku, rozpocząłem swoją edukację szkolną, to już chodziłem do tej, nowej szkoły. Pamiętam dokładnie, że lekcje odbywały się w nowowbudowanej szkole.

W ten sposób nasza rodzina, pracując i ucząc się doczekała 1939-go roku, nieszczęśliwego miesiąca września. Mój tata współ-

nie z kierownikiem tej szkoły, wielokrotnie zgłaszali się do Wojskowej Komendy Uzupełnień. Tu muszę dodać, że mój ojciec, poza udziałem w wojnie polsko-bolszewickiej, w wojsku nie służył. Przechodził różne przeszkolenia, ukończył szkołę podchorążych rezerwy /najprawdopodobniej w Grudziądzu/, tego akurat nie jestem pewien, i miał stopień podporucznika rezerwy. Wielokrotnie przebywał też na przeszkoleniach wojskowych. Najczęściej było to w czasie wakacji. Wiem, że w takich przypadkach zgłaszał się do jednostki wojskowej w Zambrowie.

We wrześniu 1939-go roku nie został zmobilizowany w pierwszych dniach wojny. Gdy zgłaszał się do Wojskowej Komendy Uzupełnień, nie, ~~nie~~ przyjmowano go, kazano czekać na ewentualne powołanie. Gdy front na linii Narwi chwiał się poradzono im /ojcu i kierownikowi szkoły/, żeby nocą nie przebywali w domu i byli przygotowani na odejście w kierunku wschodnim. I tak co noc ojciec opuszczał dom w obawie, że może wpaść w ręce Niemców.

I tak to trwało do 15-go września. Wówczas, akurat w moje urodziny, wycofująca się z miasta jednostka Wojska Polskiego przesłała ojcu wiadomość, żeby się do niej zgłosił. Ojciec ubrał swój prywatny mundur wojskowy, buty i całe wyposażenie oficerskie. Posiadał też, chyba "trofiejny", niemiecki pistolet typu "parabellum". Z tym wyszedł z domu na wojnę.

W krótkim czasie do miasta weszli Niemcy, którzy następnie wycofali się, robiąc miejsce swoim sojusznikom-Rosjanom. Po tych zmianach mieliśmy wiadomość od jakiegoś żołnierza / teraz już nie pamiętam jego nazwiska /, że ojciec brał udział w jakiejś potyczce z wojskami raczej sowieckimi i był niegroźnie ranny szrapnelem w łokieć. Nie była to groźna rana.

Praktycznie, przez kilka miesięcy, nie mieliśmy żadnej wiadomości ani od ojca ani o ojcu. Domyślaliśmy się, że dostał się

do niewoli radzieckiej. Dopiero w końcu listopada lub może nawet na początku grudnia otrzymaliśmy od ojca pierwszy list, pisany już z Kozielska z wiadomością, że tam przebywa w obozie. Natomiast później, już po pierwszym liście ojca, zgłosił się do nas p. Borowski /imienia nie pamiętam/. Był mieszkańcem Niewodnicy lub Księżyna, który spotkał się z ojcem właśnie w Kozielsku. Ten pan był w wojsku szeregowym żołnierzem i został w listopadzie zwolniony przez władze radzieckie. Powiedział, że władze obozowe sowieckie starały się nie dopuszczać do kontaktów szeregowych żołnierzy z oficerami. Mimo tego jemu się udało. Widząc, że mój ojciec ma bardzo zniszczony mundur i bieliznę - na wojnę wyszedł nagle, bez większego przygotowania, bez zapasów - zorganizował i zostawił ojcu dwie koszule i coś jeszcze bo sam wiedział, że wkrótce wraca do kraju, do domu.

Wkrótce po jego wizycie u nas - o tym dowiedzieliśmy się dopiero w ubiegłym, 1990-tym roku - ktoś "usłużny", prawdopodobnie z miejscowych Polaków, doniósł komisarzowi okupacyjnej władzy radzieckiej. Tenże komisarz, w kilka dni później powiedział panu Borowskiemu wprost, że wie o jego kontaktach z naszą rodziną. Wie, że został on zwolniony z obozu w Kozielsku, w którym przebywał razem z ojcem. Jeśli nie chce ponownie wracać na wschód, do Kozielska na czas dłuższy, to niech więcej do nas z wiadomościami ~~nie~~ nie przychodzi. Ale o tym, jak już zaznaczyłem, dowiedzieliśmy się w ubiegłym roku.

W tym czasie ludzie byli bardzo zastraszeni a władze okupacyjne ten stan niepewności i zagrożenia umiejętnie podtrzymywały, podsycaly.

Jak powiedziałem, pierwszy list był z listopada a drugi z grudnia, pisany między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Następny był z lutego a czwarty i zarazem ostatni z marca 1940-go roku. Tyle

tylko listów otrzymaliśmy od ojca. Ojciec miał prawo do napisania jednego listu w czasie miesiąca z tym jednak, że nigdy nie wiedział dokładnie, kiedy będzie mógł go napisać. Informowano go o tym w ostatniej chwili tak, że na napisanie miał mało czasu. Z konieczności więc pisał je na "chybocika" na byle jakiej, zdobytej kartce.

Same listy były pisane różną techniką: raz atramentem, raz niebieską kredką to znowu atramentem.

Jak już powiedziałem, ostatni list był pisany w marcu 1940-go roku. Nocą z 12-go ~~na~~ 13-ty kwietnia 1940-go roku nas zabrano. Pod dom podjechał, z wygaszonymi światłami, samochód ZIS o nośności półtorej tony. Po chwilowym, energicznym dobijaniu się do drzwi weszli NKWD-yści i powiedzieli, że zabierają nas do ojca. Na spakowanie mamy półtorej godziny. Powiedzieli, że ojciec przebywa w Związku Radzieckim /według wszelkiego prawdopodobieństwa ojciec już wtedy, od czterech dni, nie żył/, tam otrzymał pracę i że tam razem, jak na rodzinę przystało, będziemy żyli. O tym, że ojciec prawdopodobnie już nie żył, dowiedzieliśmy się po wojnie. W ostatnich latach potwierdziły to dokumenty katyńskie. Podczas ekshumacji ofiar z mogił w Katyniu w 1943-cim roku z udziałem komisji technicznej pod kierownictwem d-ra Wodzyńskiego został zidentyfikowany. Znalezione świadectwo szczepienia oraz listy od nas. Na publikowanej powszechnie liście ofiar katyńskich znajduje się pod n-rem 1630-tym.

Nocą z 12-go na 13-tego kwietnia, gdzieś ok. godziny pierwszej w nocy usłyszeliśmy warkot zbliżającego się samochodu. Poprzedniego dnia byliśmy wszyscy bardzo podenerwowani, chociaż nie wiedzieliśmy co nas czeka. Wszyscy odczuwaliśmy jakieś dziwne, niewytłumaczalne napięcie. Słyszeliśmy o wywózce w lutym. To ciągle wracało w myślach i ciągle nas gnębiło: czy nie będzie następ-

nych. Właściwie to nie spodziewaliśmy się, że nas wywiozą, bo w tym czasie ani Mama ani siostra nie należały do żadnych organizacji. Wprawdzie przed wojną należałem do harcerstwa ale w tym czasie nie prowadziliśmy żadnej dywersyjnej działalności. W przeddzień wyczuwaliśmy jakieś nieszczęście chociaż nie da się tego wytłumaczyć, skąd się to brało. Logicznie to nie jest wytłumaczalne. Dlatego tej nocy wszyscy mieliśmy czujny sen a mama pierwsza zauważyła przed domem samochód z wygaszonymi światłami - samochód "gaz AA", "półtoraka". Do mieszkania, po uprzednim waleniu do drzwi i wołaniu "atkrojcie dwier" - wkroczyło trzech czy czterech NKWD-ystów. Jeden czy dwóch zostało na zewnątrz, przy drzwiach wejściowych. Dalszych dwóch ubezpieczało drugą stronę domu. Nasze mieszkanie znajdowało się na parterze.

Po wstępnej rozmowie - kto tutaj mieszka, sprawdzeniu i porównaniu danych - oczywiście rozmawiano tylko z mamą i tylko ona udzielała odpowiedzi - padło zdanie: "Takda sobirajties". Zapytaliśmy, co właściwie w tej sytuacji oznacza słowo "sibirajties"? No więc wyjaśniono, że trzeba pakować się i że pojedziemy do ojca. On tam, w Związku Radzieckim, dostał pracę, przeto pojedziemy do niego. Tam będziemy mieszkali i żyli - cała "siemija" w komplecie.

Do rodziny należała też mama mojej mamy czyli moja, siedemdziesięciosiedmioletnia babcia, która też musiała wybierać się i jednać z nami.

W momencie, w którym kazano nam ubierać się, nastąpił szok. Byliśmy wprawdzie - jak to w warunkach wojennej niepewności - nieco przygotowani na niejedno, ale nie aż tak, na podróż gdzieś tak daleko. W mieszkaniu zapanowała wielka rozpacz i zdenerwowanie. W takiej atmosferze, popędzani przez naszych konwojentów, ubieraliśmy się. A przecież w momencie najścia byliśmy w bieliź-

nie nocnej. Ubieraliśmy się w pośpiechu. Przygotowaliśmy tobołki i kuferki, jak to w czasie wojny. Tu nieocenione okazało się doświadczenie babci, która przeżyła już kilka wojen. Za jej radą szybko to przygotowaliśmy. Babcia była bardziej przewidująca. Już w pół godziny byliśmy w zasadzie gotowi do drogi. Jednak tak się nam tylko wówczas wydawało. Nie zapakowaliśmy bowiem żadnych artykułów żywnościowych, które były niezbędne na tak długą podróż.

Muszę tu dodać k'woli prawdy historycznej, że jeden z NKWD-ystów był chyba bardziej ludzki niż jego koledzy i w momencie, kiedy mama przechodziła koło niego szukając czegoś w zdenerwowaniu, szepnął: "bieritje, jak najwięcej bieritje". On dobrze wiedział, co nas czeka i stąd jego cenna i życzliwa rada, żebyśmy wzięli ze sobą jak najwięcej. A pozostali NKWD-yści stale mówili a właściwiei pokrzykiwali; ~~skorej!~~

Gdzieś po pół godzinie zaczęliśmy wsiadać na skrzynię ciężarówki. Jeszcze była noc a właściwie tuż przed świtem. Kiedy już mieliśmy ruszać okazało się, że mama na pod paltem nocną koszulę. W tym nerwowym pośpiechu zapomniała o sobie i nie zdążyła się ubrać. Teraz, z wielkimi oporami pozwolono jej wrócić do domu i ubrać się.

Pozostała jeszcze kwestia zabezpieczenia pozostawianego, naszego mieszkania. Z tego powodu kazano obudzić naszą sąsiadkę zza ściany, którą była nauczycielka, koleżanka ojca z pracy, pani Jadwiga Dzienis. Ona właśnie miała zająć się zabezpieczeniem naszego mieszkania i naszymi rzeczami. Naprędce ustalono, że niektóre rzeczy ona spienięży i nadeśle nam pieniądze oraz niektóre rzeczy, których teraz z oczywistych powodów zabrać nie możemy. Generalnie postanowiono, że w stosownym czasie otrzymamy pieniądze lub same te rzeczy. Oczywiście były to nasze "po-

bożne życzenia", które w najbliższym czasie w najmniejszym stopniu nie mogły się spełnić.

W ten sposób i w tej atmosferze ruszyliśmy. Kiedy dojeżdżaliśmy do dworca kolejowego w Białymstoku, rozwidniało się. Pamiętam, że wiozący nas samochód zostawiał na szosie Księżyno-Białystok, ślady. Tej właśnie nocy wyjątkowo - bo była już przecież wiosna - popruszył śnieg. Opony auta zostawiały ślad na nietrwałym już śniegu. Nocą temperatura była wprawdzie bliska zeru ale stale podnosiła się.

Bardzo wczesnym świtem ale jeszcze o zmroku, zaczęto nas ładować do wagonu, bydlęcego oczywiście. W tym czasie ja zgłosiłem konieczność udania się na stronę za swoją potrzebą. Kierownik nadzorującej nas ekipy łaskawie zgodził się na to po długich perypetiach. Swoją potrzebę fizjologiczną załatwiałem pod wagonem pod czujnym okiem żołdaka, który stał tuż obok ze "sztikiem" na karabinie.

Załadowano nas do wagonu. W wagonie nie byliśmy ostatni. W miarę nadjeżdżania samochodów i furmanek w wagonie zaludniało się do granic możliwości. Trzeba przyznać, że wagony były przygotowane do tego prawie całkowicie. Czynne było tylko jedno wejście. Drugie starannie zakratowano i zadrutowano. Podobnie było z okienkiem, które również było zakratowane płaskownikiem i zadrutowane. Po obu stronach wejścia były piętrowe nary czyli przycze ale żadnego, nawet prowizorycznego otworu klozetowego nie było. Mieliliśmy bowiem do czynienia z wagonami polskimi, normalnotorowymi. W takich warunkach jechaliśmy do granicy. Kiedy tam, na dawnej granicy pomiędzy II Rzeczpospolitą a Związkiem Radzieckim przeładowano nas do wagonów radzieckich, tamte miały już otwory w podłodze i coś w rodzaju parawanu z płyty pilśniowej przynajmniej z jednej strony.

W naszym wagonie mężczyzn było bardzo mało. Pochodzili głów-

nie z Księżyna. Był m.in. Seweryn Zaczeniuk, inwalida z protezą lewej czy prawej nogi /nie pamiętam/. Jedną z młodszym synem, który był starszy ode mnie jakieś dwa, trzy lata. Na imię miał Janek. Żyje i obecnie mieszka nadal w Księżynie. Powrócił. Inne były losy jego starszego brata. Został on skazany w procesie wytoczonym przez władze radzieckie. Na ławie oskarżonych zasiadał z Januszem Kokocińskim, synem nauczycielki z Księżyna. Obaj otrzymali wyroki dziesięciu lat i przebywali w tym czasie w łagrach. O starszym Zaczeniuku i Januszu Kokocińskim należy dopowiedzieć, że w 1941-ym roku, po zawarciu pomiędzy premierem rządu polskiego na emigracji i zarazem wodzem naczelnym a ambasadorem radzieckim w Londynie Iwanem Majskim umowy, obaj wyszli na wolność. Obaj też dostali się do armii gen. Andersa. Z tą armią opuścili też Związek Radziecki.

W tym samym wagonie z panią Kokocińską była też jej matka, p. Bogdanowiczowa. Jechała też z nami rodzina Promińskich - rodzina policjanta. Pani Promińska była z dwiema córkami: starszą Wandą - obecnie, po mężu Sobolewską i młodszą Haliną, która obecnie jest lekarzem i pracuje w białostockiej służbie zdrowia.

Jak już wspomniałem, mężczyzn było niewiele. Byli to głównie albo bardzo wczesna młodzież albo też starzy i niepełnosprawni. Resztę transportu stanowiły kobiety z dziećmi małymi, często na ręku, przy piersi, z niemowlętami.

Również w naszym wagonie jechał starszy, kulturowy pan. Jak się w dalszej części podróży miało okazać, był wyznania mojżeszowego, białostockim lekarzem. Zamieszkiwał, przed wywiezieniem, w Białymstoku wraz z żoną i siostrą. Jego aresztowanie miało wyjątkowo dramatyczny przebieg. Kiedy nocą przyszli NKWD-yści w wiadomym celu, jego żona doznała szoku a następnie ataku serca i zmarła. Bolszewicy zachowali się wyjątkowo cynicznie: jego zabrano na-

tychmiast do wagonu. Siostrę jego natomiast zostawiono ale tylko po to, aby wspólnie z sąsiadami i znajomymi zorganizowała pogrzeb swojej bratowej. Jeszcze tego samego dnia, w godzinach popołudniowych dowieziono ją do wagonu do kompletu. Jechała oczywiście razem z nami.

Tak nas kompletowano do godzin popołudniowych. W godzinach wieczornych transport ruszył na wschód.

Pewne szczegóły z transportu, które jakoś utkwily w mojej pamięci. Jak już powiedziałem, w wagonie nie było żadnych warunków do załatwiania podstawowych potrzeb fizjologicznych. Nie byliśmy na to zupełnie przygotowani. Jedna zdaje się tylko rodzina miała naczynie zwane pospółlicie nocnikiem. Jedna z jadących z nami pań była dość energiczna, odważna, wręcz desperatka. Tak się złożyło, że któreś dziecko załatwiło się do nocnika. W momencie, gdy transport zatrzymał się na jakiejś stacji /nazwy nie pamiętam/, kazała nam, młodym chłopcom, odsunąć się od okna. Zauważyła bowiem z pewnej odległości, że peronem zbliża się jakaś delegacja dostojników sowieckich. W momencie, gdy się zbliżyli, chlusnęła zawartością nocnika. Na nasze chyba szczęście zawartość spadła nie na nich lecz przed nimi. Po chwili bąknęła coś w geście przeproszenia, chociaż jej zamiar był od początku wyraźny a wysoka komisja też co do tego nie miała wątpliwości. Dostojnicy zatrzymali się, zgromili wagon wzrokiem a my czekaliśmy tylko, czy każą otworzyć drzwi.

Było w zwyczaju, że na dłuższych postojach drzwi otwierano. Natychmiast, w takich wypadkach, transport otaczały szeregi "bajcow" pilnujących nas, żeby nikt nie uciekł. Ten incydent miał miejsce w czasie gdy dojeżdżaliśmy do dawnej granicy państwowej.

Wkrótce przeładowano nas do wagonów sowieckich, szerokotorowych. Zorganizowano to w ten sposób, że na sąsiednim torze podstawiono szereg wagonów rosyjskich z takim wyliczeniem, że wagony

a właściwie drzwi wejściowe znajdowały się na przeciw siebie. Położono po dwie deski tak, że my przechodziliśmy z wagonu do wagonu nie dotykając ziemi. Nie wszystkie wejścia były dokładnie na wprost siebie, ponieważ tamte wagony są nie tylko szersze ale też i dłuższe. W związku z tym podróżni z niektórych wagonów mieli wejście nieco utrudnione. Ale cała operacja przebiegła dość sprawnie, w atmosferze "prób" i ustawicznych, wiecznie nerwowych konwojentów.

Nadal podążaliśmy na wschód. Z tego odcinka podróży jeden fakt utkwił w mojej pamięci. Pewnego ranka obudziłem się i jak zwykle podbiegłem do okna. Spoglądałem z tym większą ciekawością, bo czuliśmy, że jesteśmy w górach. I faktycznie - przekraczaliśmy Ural. Akurat mijaliśmy jakieś miasto - prawdopodobnie Ufę. Do dziś pamiętam, jak pięknie wyglądało to miasto, zbudowane tarasowato na zboczach. Widok był tym piękniejszy, że przy wschodzącym, jeszcze bardzo niskim słońcu. Kolorystycznie było to wrażenie niezapomniane. Uroku widokowi dodawał fakt, że nasz pociąg nie jechał w dolinie lecz znajdował się na którymś z tarasów.

Ponieważ nasz wagon znajdował się mniej więcej w połowie długości transportu, przy większych zakrętach na górskich serpentydach mogliśmy widzieć jednocześnie początek jak i koniec składu. Wówczas to właśnie przekonaliśmy się, że nasz transport obsługują jednocześnie trzy lokomotywy: dwie z przodu ciągnęły a trzecia na końcu popychała. W końcu nic w tym dziwnego, ponieważ znajdowaliśmy się w górzystym terenie. Można więc sobie wyobrazić, jakiej długości był to transport. Nie potrafię określić nawet w przybliżeniu, ile liczył wagonów. Z całą pewnością było ich znacznie więcej niż w zwykłym transporcie, nawet gdy porównywać go z transportem /składem/ towarowym.

Wkrótce dotarliśmy do Pawłodaru. Tam "wygrużono" /wyładowano/

nas obok stacji kolejowej na dużym, piaszczystym placu. Jeśli dobrze pamiętam, zajechaliśmy tam po południu. Było to albo w pierwszych dniach maja albo w ostatnich dniach kwietnia. Przez całą następną noc przebywaliśmy na tym placu. Nazajutrz przetransportowano nas/ niestety, nie pamiętam jakimi środkami lokomocji/ na nowe miejsce, położone około dwudziestu kilometrów od Pawłodaru. Były to dwie olbrzymie owczarnie wśród bezkresnego stepu. Zabudowania należące do tych owczarni zajęli ludzie z naszego transportu.

Tam przebywaliśmy przez okres około dwóch tygodni. Dziewczynki i oczywiście nasze panie zorganizowały nabożeństwa majowe. Wszystko to odbywało się z zachowaniem obyczaju polskiego. Zresztą przeważająca część deportowanych z naszego transportu była wyznania katolickiego, ludzie praktykujący. Bez mała wszyscy odczuwali pilną potrzebę i udziału w spotkaniach religijnych. W tych szczególnych, trudnych chwilach dawało to wyraźne ukojenie. Skupienia modlitewne podtrzymywały na duchu w trudnych momentach.

Dwutygodniowy pobyt na terenie owczarni był potrzebny dla przeprowadzenia kwarantanny. Po upływie tego czasu przyjechały po nas samochody "Zis-5" /już nie "połutorki"/. Zabierając nas stamtąd wykorzystywano dokładnie ładowność każdego samochodu. Wreszcie wyruszyliśmy w drogę.

Wieziono nas - w przybliżeniu - około dwustu kilometrów. Mówię około, bo oczywiście żadnego licznika nie widzieliśmy. Natomiast przy tamtejszych drogach nie było ani tablic informacyjnych ani słupów kilometrowych. Jechaliśmy drogami, które były przetarte wśród stepów, na których jakże pięknie rośnie piołun. Piołun w różnych gatunkach: poczynając od takiego, który osiąga wysokość półtora metra i świetnie nadaje się na opał, do bardzo

niskiego, krzaczastego. Każdy z tych gatunków doskonale wpływa na "ustrój trawienny". To może brzmieć humorystycznie ale tak myśmy się tam pocieszali: to właśnie przez piółon mamy taki prawdziwie wilczy apetyt.

Bo tam stale czuliśmy się głodni. Uczucie głodu towarzyszyło nam stale. Nasze zapasy, zabrane z domu skończyły się już bardzo dawno. Zdobycie żywności było możliwe w zasadzie tylko na drodze "towarobmienny" /handlu wymiennego/. Były to transakcje "towar za towar". Nie wszystko mogliśmy i nie wszystko chcieliśmy wymieniać. Artykuły szczególnie cenne / w normalnych oczywiście warunkach / jak np. obrączki czy inne precjoza z drogich kamieni czy metali poprzez artykuły tekstylne miały nam wystarczyć przez okres nie wiadomo jak długi. Wszyscy mieliśmy tego świadomość. Wiedzieliśmy, że jest to podstawowy warunek naszego przetrwania.

Transportem dotarliśmy do wsi Pietropawłowka. Był to pasiołek dość duży, bo liczący sto dwadzieścia kominów. Mówiąc "kominy", bo każdy "komin" oznaczał dwuizbową lepiankę. Lepianka zaś to w naszym rozumieniu dom. Innych budynków, drewnianych, oczywiście nie było. Dość powiedzieć, że najobszerniejszy dom, lepianka o dużej sali, był przeznaczony na kołchozowy jakby klub reprezentacyjny. Była to jedyna izba w całym kołchozie, która miała drewnianą podłogę. Już to daje wyobrażenie, jak zasobna była to wieś i jak wyglądały tamtejsze mieszkania. Trzeba dodać, że w tych mieszkaniach w okresie surowych, zimowych mrozów trzymano bydło. Także w tych mieszkaniach krowy się cielikiły. Każdy bowiem kołchoźnik miał prawo do hodowli jednej krowy. Po ocieleniu się mieszkano z cielakiem. Jego miejsce było w pobliżu drzwi wyjściowych z izby. Stąd wykonywano rowek odprowadzający mocz i inne odchody cielaka do dołka.

Obok cielaka leżeliśmy my, pokotem, na tym klepisku. Podłogę robiono bowiem z niepalonej oczywiście gliny. Glinę po prostu udeptywano. Podłoga była też dla nas miejscem do spania. Miejscowi mieli bowiem łóżka /krowat'/. Wprawdzie wykonane z jakichś lichych desek, ale zawsze na jakimś podwyższeniu, choćby niewielkim. Myśmy nie jechali tam z meblami. Było bardzo dobrze, jeśli ktoś miał z czego zrobić siennik. A i z tym nie było tak prosto, bo na dzień trzeba było podłogę sprzątać. Jakos bowiem trzeba było poruszać się.

Inni spali na jakichś łachmanach, szmatach, czymś, co kiedyś było ubraniem.

Jak nas powitano w Pietropawłowce? Otóż przyjechaliśmy tam tuż przed zachodem słońca. Smachody zatrzymały się po środku wsi, która miała w zasadzie trzy ulice tworzące literę H. Dwie równoległe do siebie ulice były połączone poprzecznie mniej więcej w połowie. Po zatrzymaniu się kazano nam zabierać bagaże i wysiadać. I tak na środku tejże ulicy wyładowano nas. Jak to najczęściej tam bywało, miejscowa ludność wraz z dziećmi okrążyła nas. My, gromadka złożona z dwóch - trzech samochodów /dokładnie nie pamiętam/ nie wiedzieliśmy, co począć, bo właśnie w tym momencie skończyła się opieka naszej eskorty. Pozostawiono nas samym sobie: teraz możecie robić sobie co chcecie.

Patrzyliśmy na ~~krąg~~ krąg ludzi otaczających nas w pewnej odległości. Tamci nie zbliżali się do nas. My też nie, ponieważ tylko niektórzy z nas i to z niemałym trudem posługiwali się językiem rosyjskim. Zresztą to nie był czysty język rosyjski. Był to bowiem kraj Kazachów ale większość ludności tej wsi stanowili Rosjanie. Przez pewien, dłuższy czas patrzyliśmy na siebie. Nie dostrzegaliśmy spojrzeń przyjaznych. A i my też nie mie-

LIśmy rozradowanych twarzy. Nasze gesty ani mimika nie nas-
trajały przyjaźnie. W takim to, nijakim stanie dotrwaliśmy do
szarówki. Wprawdzie odważniejsi nieco się przybliżyli ale kon-
taktu nie nawiązywali.

Kiedy nadeszła szarówka, wtedy prysło to ściśle koło wokół
nas, zaczęło się rozluźniać. Obie strony zaczęły zbliżać się do
siebie. My trzymaliśmy się gromadkami, rodzinami a w dalszej ko-
lejności grupkami znajomych. Akurat do naszej grupki podszedł
Rosjanin, stary już mężczyzna i rzekł po cichu: ja was przenocu-
ję bo widzę, że nie macie innego wyjścia. Bo nam rzeczywiście
nie przydzielono rzadnych "kwartir". Tenże Rosjanin - o czym
dowiedzieliśmy się znacznie później - brał udział w wojnie
polsko - bolszewickiej w 1920-tym roku. O dziwo, wojnę i Polaków
wspominał bardzo dobrze: jak żeśmy walczyli to walczyli, jak
były chwile rozejmu, to w atmosferze przyjaźni częstowaliśmy
się papierosami.

Zapytaliśmy go więc, skąd się wzięła niechęć miejscowych lu-
dzi do nas i skąd te pierwsze chwile niufności połączone z cie-
kawością? Otóż okazało się - później potwierdzili to inni -
że w przeddzień naszego przyjazdu we wsi zwołano miting/wiecz/.
Stąd się wziął mój niechętny do dziś stosunek do wieców, bo to
kojarzy się z mitingami. Właśnie na tym mitingu zapowiedziano,
że do wsi wkrótce przywiozą Polaków. Co to za ludzie? Mają kształt
ludzki ale są to prawie bestie w ludzkiej skórze. Dla lu-
dzi uczciwych są czymś groźniejszym od diabła, bo w ludzkiej
skórze nieludzka "zawartość". Potrafią wyznosić niebywałe his-
torie i w ogóle są to istoty bardzo podejrzane.

On wprawdzie o tym z miejscowymi nie rozmawiał chociaż wie-
dział, jak wygląda prawda i jacy naprawdę są Polacy. Pamiętał
ich z czasów wojny. Wiedział, że nie może tego ujawnić ale zli-
tował się nad nami. Przenocował nas nie jedną noc ale kilka.

Tak więc przez jakiś czas tam myśmy mieszkali /"mieszkali" to w tym wypadku wielkie słowo./Zresztą on też miał znaczne zagęszczenie w swoim domu.

Później znaleźliśmy znośniejsze warunki w tym znaczeniu, że było więcej przestrzeni na tyle, że mogliśmy położyć się swobodnie i nikt nie deptał po nas. Ale korzystanie z tych warunków łączyło się z wynagrodzeniem. Tak więc nie było to wszystko dyktowane potrzebą dobrego serca, bo też i oni nie mieli wszystkiego w nadmiarze. Za to należało odwdziaczyć się czy to czymś z ubrania czy to przez świadczenie jakichś usług. Choć, jeśli chodzi o pracę, oni nie mogli zatrudniać, bo nie mieli przy czym. Tę jedną krowkę i tego jednego prosiaka, którego wolno było kołchożnikowi trzymać i kilka arów grządek w pobliżu domu - z tym sami sobie radzili.

W dodatku w 1940-tym roku w psiołku było dużo mężczyzn. Do wojska wcielono tylko część w związku z wybuchem wojny w Europie. Nie było jeszcze mobilizacji powszechnej i związanego z tym masowego poboru. A myśmy musieli przystępować do pracy. Byliśmy zresztą na ewidencji i to ścisłej - władz miejscowego kołchozu. Mieliśmy polecenie meldować się dwa razy dziennie /to na początku/ w kołchozowej kancelarii. W ten prosty sposób sprawdzano obecność. Oczywiście dotyczyło to wszystkich dorosłych. Niepełnoletni nie podlegali temu obowiązkowi. Tak więc i ja na początku nie musiałem zgłaszać swojej obecności.

Miało to zapobiec próbom ucieczek. Zresztą pojęcie "ucieczka" w tamtych warunkach pochodziło ze sfery fantastyki. Nie znaliśmy tamtejszego klimatu. Wiedzieliśmy jedynie, że jest wyjątkowo niebezpieczny. Zdarzały się bowiem zimy i bywały takie dni / to jest wynikiem późniejszych doświadczeń /, kiedy mróz sięgał minus sześćdziesięciu stopni. Mróz czterdziestostopniowy równoważył nasze tu w Polsce dziesięć stopni. I porównać to z zimami

w Polsce zwłaszcza w ostatnich latach. Natomiast latem w cieniu, zdarzało się - też niecodziennie - czterdzieści stopni. I w ten sam dzień w godzinach nocnych temperatura spadała w pobliże zera. Amplituda temperatury - jak widać - szalona. Jeśli przy tym uwzględnić, że wiosna, lato i jesień razem wzięte trwają pięć miesięcy a siedem miesięcy zimą z leżącym śniegiem, dopiero można mieć jakie takie wyobrażenie o tantejszym klimacie.

I jeszcze szalejące buriany. Są dwie odmiany buriahu. Jest tzw, burian "pałzun", bardzo silny, przesuający się po ziemi. Powyżej kolan większego powiewu się nie czuje. "Pałzun" znaczy pełzający. Buriany potrafią być dwu - trzy dniowe ale zdarzają się też i buriany siedmiodniowe.

Cechą charakterystyczną drugiego rodzaju burianu są tak potężne zawirowania śniegu, że z odległości 10-ciu metrów bożego świata nie widać. Takie zawirowania trwają bardzo długo. Żaden kompas, nawet gdyby był, nie da żadnej orientacji. Oczywiście tam kompasów nie miał nikt: ani my ani miejscowi. Oddalenie się w czasie górnego burianu dalej od zabudowań czy znanych obiektów groziło śmiercią. Było wiadomo, że po zakończeniu burianu czy wiosną, po stopnieniu śniegu znajdować się będą ofiary. Będą to najczęściej osoby, które na czas burianu wyszły z domu, były zbyt odważne.

Bywało też, że burian zaskoczył kogoś w drodze. W drodze powrotnej do Polski /w 1946-tym roku/ jechał z nami pan, który nie dostał się w Rosji ani do armii gen Andersa ani do wojska gen Berlinga. Nazywał się p. Marszałek. Miał odmrożone stopy i ręce do łokci bo w czasie burianu stracił orientację.

U nas, gdy zaczyna wiać wiatr, wiadomo, że jest południowy, północny, wschodni czy zachodni. Dlatego idąc wiemy, w jakim kierunku się poruszamy. Natomiast w czasie burianu kierunek wiatru się zmienia. To są te trąby powietrzne, o których już wspominałem.

W jednej minucie może zakręcić i człowiek traci orientację całkowicie. Ponadto nie widzi ani nieba, ani gwiazd ani chmur. Otoczenie jest jak mleko. Jeśli to jest dzień, człowieka otacza przyciemniona biel.

Między ziemiankami a chlewkami, w których kolchoźnicy trzymali krowy czy prosiaki czy owce, miejscowi przekopywali tunele. A przecież było to na terenie wsi. Wprawdzie o zabudowie parterowej, ale jednak. Wieś była całkowicie zasypana od zachodniej strony. Jeśli w zimie ktoś zbliżał się od tej strony, to do ostatniej chwili wsi nie widział. Widział jedną, nieprzerwaną biel po nieboskłon. Nie było widać żadnych budynków a nawet stepowych lasków, tych oaz drzew. Wszystko od zachodu było zasypane po czubki budynków czy wierzchołki drzew.

Zbliżając się do wsi od zachodniej strony widziało się tylko dymy wydobywające się z kominów, bo domy musiały być przecież opalane. Dopiero z drugiej strony tego domu widziało się urwiszko i przekopane dojścia do domu, bo zaspą tworzyła się na skutek nawiewania śniegu od zachodu.

Podobnie było w lesie. Z zachodniej strony zawiane było po wierzchołki drzew. Czasem wystawały rzadkie gałązki u góry. Gdy ten śnieg zamarzał do 60-ciu stopni, można było po nim swobodnie chodzić tak jak po lodzie. Na niektóre partie śniegu można było wprowadzić konia. Koń jest przecież znacznie cięższy a kopyta stanowią niewielką powierzchnię. Ciężar jednostkowy na centymetr czy metr kwadratowy jest znacznie większy niż w przypadku człowieka.

Przebywając w pasibłku mieliśmy obowiązek podjęcia pracy. Wiadomo, że sama konstytucja Związku Radzieckiego przewiduje, że każdy musi świadczyć pracę. Stąd to popularne powiedzenie: kto nie robotajet, ten nie kuszajet. Ale to donosi się do prawomyślnych

obywateli. Lecz my, jako grupa ludzi "niebohonadiożnych", mówiąc delikatnie - nie mających zaufania władz - tak to mniej więcej brzmi w tłumaczeniu z rosyjskiego na polski, tym bardziej mieliśmy obowiązek świadczenia pracy. Zresztą to nam dawało faktyczne prawo życia na tym terenie. Logika tu prosta: dla prawomyślnych obowiązek pracy istniał. Dla nieprawomyślnych - niebohonadiożnych - tym bardziej. A zatem wszyscy zdolni do pracy musieli ją świadczyć w kołchozie zgodnie z przydziałem brygadzisty czy też uczotczyka.

Na tej podstawie ja też musiałem pracować w kołchozie. Na początku pracowałem jako izwozczyk. Otrzymałem parę wołów - nazywano je bykami - i miałem z zadanie przewożenie różnych towarów. Byłem przewoźnikiem i jednocześnie "gruzczikiem" tj. ładowaczem. Przewożąc, musiałem sam załadować. Zresztą dzięki temu posiadałem umiejętność układania na małych saniach znacznych ilości siana lub słomy. Umiałem układać dość wysokie stogi na stosunkowo niewielkich saniach z zastosowaniem odpowiednich narzędzi tj. lin i draga, który po rosyjsku nazywał się "bastryk". Układałem trzy-metrowe sterty /wysokie na trzy metry/ na podstawie kwadratowej o boku około trzech metrów. Cała ta umiejętność polegała na takim jej ułożeniu, żeby ona w czasie jazdy ze stępu nie rozsunęła się i nie przewróciły się sanie. Właśnie wyważenie środka ciężkości, ułożenie i odpowiednie związanie miało kolosalne znaczenie. Była to jedna z wielu czynności przeze mnie wykonywanych.

W ciągu sześciu lat pobytu na Syberii robiłem chyba wszystko. Nawet przez jedną dobę - byłem wtedy chory - byłem pastuchem. Stało się to tylko dlatego, że miałem dość wysoką temperaturę, bo opadły mnie czyraki, tzw. przez miejscowych ślepe czyraki. Poza orką i pracami żniwnymi wykonywanymi przy pomocy koni, konnych żniwiarek czy, jak przy siankosach - konnych kosiarek, gra-

bi mechanicznych o napędzie konnym, wykonywałem wszystkie inne prace.

Praca trwała od świtu do zmroku. Przydział zadań na dany dzień otrzymywało się rano. Przerwa obiadowa była bardzo krótka. Trudno powiedzieć, ile wynosił nasz faktyczny wymiar pracy; to zależało od długości dnia. Jednak w okresie np. żniw po pracy żniwnej mieliśmy obowiązek tą samą parą koni, którą powoziliśmy, dostarczyć z bragady polowej do magazynu w pasiołku czyli we wsi, zboże. Najczęściej odbywało się to w grupach, po cztery - pięć zaprzęgów jednocześnie. Przewoziliśmy to w nocy, po pracy dziennej i po zjedzeniu kolacji. Bo w brygadzie polowej funkcjonowała zorganizowana przez kołchoz, kuchnia polowa. Tam otrzymywaliśmy - głodowe oczywiście - posiłki w postaci zup. Najczęściej zup, bo o drugim daniu trudno mówić. O tyle to było uciążliwe, że po całym dniu pracy odczuwało się zmęczenie. Nejednokrotnie na odcinku od brygady do wsi - odległości były różne, bo brygada przenosiła się; w naszym przypadku pracowała w dwóch miejscach - najbliższa odległość wynosiła dziesięć kilometrów - zasypiało się po prostu. Była przecież noc po dniu ciężkiej pracy. Ale od czasu do czasu - był taki uczołczyk, który kontrolował te przewozy - czy ktoś nie odłączył się od grupy zaprzęgów. Jeśli zauważył na koźle śpiącego, budził go batem. Jeździł konno, wierzchem. Podjeżdżał względnie cicho dź dzemiącego i zniecka bił. To bardzo bolało. Takie uderzenie czuło się dość długo, nawet przez kilka dni.

Starłem się jechać na czele, żeby być pierwszy przy magazynie i pierwszy rozładować. We wsi, po drodze, mieszkała moja mama z babcią i siostrą. W takich sytuacjach wpadałem do domu na kilka choćby minut. Czasem mogłem coś zjeść. Przy oknie stała moja mama obserwując, czy drogą nie nadjeżdża moja grupa z powrotem, żeby zdążył dołączyć. Ja czasem - jak na miotle - zdrzem-

nałem się na podłodze. I wracałem razem z kolegami do brygady.

Dla Polaków, którzy nie znają tamtejszych warunków i stosunków może być ciekawe, jak pracowano w zimie. Bo zimą też codziennie musieliśmy pracować. Nasza praca polegała głównie na zwożeniu do pasiołku tego, co w lecie zdążyliśmy zebrać i złożyć w stogi a nie zdążyliśmy tego przed zimą zwieźć do wsi. Trzeba bowiem pamiętać, że tam czas po temu był krótki: wiosna, lato i jesień trwały razem raptem pięć miesięcy. Większość zbóż zostawała w polu złożona w stogach, nawet zboże często niewymłócone. Niektóre sterty dochodziły do pięćdziesięciu metrów długości, osiągając wysokość pięć metrów a szerokość trzy do czterech. Tych wymiarów dokładnie już nie pamiętam chociaż jestem pewien, że ich wysokość przekraczała pierwszą kondygnację budynku.

Przewożenie więc tego siana jako paszy dla kolchozowego bydła czy słomy na sieczkę dla koni, którymi właśnie powoziliśmy, była to właśnie nasza praca zimowa.

Ale poza tym były też takie polecenia brygadzisty przywiezienia drzewa. Jak już wspomniałem przy innej okazji, teren ten nie był obfity w lasy w naszym pojęciu. Występowały tu oazy drzew liściastych. U nas nazywa się to lasami gospodarskimi. Nieliczne kępki drzew na tej bezkresnej przestrzeni. Z tym jednak, że te laski należały do państwa a myśmy byli kolchozem.

Teoretycznie kolchoz funkcjonuje na zasadzie naszych spółdzielni. Stąd inaczej byliśmy wynagradzani: z podziału - u nas to się nazywa zysku - tam z podziału uzyskanych plonów jeśli pozostawała nadwyżka po zdaniu planowych wielkości na rzecz państwa. Wiadomo, że w czasie wojny plany były olbrzymie i poza poślady - to gorszy gatunek ziarna - w kolchozie nic nie zostawało. Właśnie tylko poślady, ziarno, które nie nadawało się do przerobu w sensie przemysłowym. I to właśnie było to, co zostawało kol-

choźnikom.

Wszyscy ci, którym były przydzielone konie czy woły, przychodziliśmy rano po "prikazy" czyli polecenia na dany dzień. Czasami otrzymywało się polecenie przywiezienia dla potrzeb kołchozu: kancelarii kołchozowej, dyżurujących przy stajniach czy oborach, gdzie były kajutki, które trzeba było opalać, aby dyżurni mogli doglądać bydła. Tak więc kołchoz potrzebował niemało opału a węgiel tam zupełnie nie był w użyciu. Ale kołchoz nie miał swoich lasów - lasy należały do państwa.

Skąd należało drzewo przywieźć, brygadzysta praktycznie nie mówił: wiesz gdzie są lasy? Twoją sprawą jest przywiezienie drzewa. Gdy złapie cię leśnik, pójdziesz pod sąd. Bo to jest przecież kradzież mienia państwowego. Odmowa wykonania polecenia też jest karana: więzieniem, łagrem, wywozem do kopalni czy skierowaniem do obozu karnej pracy, co było najgorsze.

Reasumując: Odmowa wykonania polecenia była karalna. Wykonanie polecenia ale danie złapać się leśniczemu - też karane i to więzieniem, nawet wieloletnim. Trudno mi po polsku teraz powiedzieć, jak tam określało się taką sytuację. Upraszczając nieco sprawę powiem, że: rób co chcesz, masz to wypełnić. A jak to zrobisz, to nas nie obchodzi. Jeśli to zrobisz to powiesz, że drzewo znalazłeś i dlatego je przywiozłeś. Tam określano to bardzo dokładnie, niecenzuralnymi słowami.

Kilkanaście razy i ja otrzymałem takie polecenia. Przyznam się, że udało mi się nie dać złapać leśnikowi chociaż często byłem w wielkich tarapatach.

Przy tej okazji chcę powiedzieć, że z tym rodzajem proceduru wiązał się niepisany, dziwny zwyczaj. Leśniczy mógł złapać jedynie poza granicami pasiołka: w lesie, na drodze i td. Jeżeli natomiast złapał w pasiołku, to mógł najwyżej zabrać sprzęt: piłę

i siekierę. Natomiast nie mógł skarżyć i odesłać do sądu. Widział drzewo na saniach ale niby to nie potrafił udowodnić kradzieży, bo nie złapał na gorącym uczynku, przy wycince. Nie było dowodu, że to drzewo pochodzi z konkretnego lasu. Takie to było tamtejsze prawo niepisane.

Tak się jakoś składało, że to właśnie ja miałem parę najlepszych koni. Na tamtych terenach żyły olbrzymie stada dzikich koni stepowych. Po wybuchu wojny z Niemcami / w 1941-ym roku / wszystkie oswojone i pracujące konie wzięto na potrzeby armii. Poszły one na Zachód razem z wcielonymi z powszechnego poboru ludźmi. Odszedł też co lepszy sprzęt pociagowy w tym wszystkie traktory, które były w dobrym stanie. Nam zostały gorsze konie. Mogliśmy zaopatrywać się w konie w ten sposób, że łapaliśmy na stepie co lepsze egzemplarze, co wcale nie było sprawą taką prostą. Ujęte konie należało - jak mówiono po rosyjsku - "obuczyć" tzn. oswoić, ujeździć i dopiero było można nimi pracować. Z tym jednak, że te konie wyglądały dobrze, gdy przebywały na wolności. W rzeczywistości okazywały się słabe. Trzeba je było stopniowo i bardzo umiejętnie zaciągać do pracy, żeby nabrały kondycji. To wymagało dużo cierpliwości.

Mnie udało się obuczyć wiele koni. Podobno świetnie trzymałem się na koniu, oczywiście bez siodła, na oklep..

Pierwszy raz, gdy się pochwyci takiego konia dzikusa, trzeba go zamęczyć i zajeździć do piany. Chodziło o to, aby nie miał siły i ochoty się bronić. Bardzo poważnym problemem było założenie po raz pierwszy uzdy. Taki koń stawał "dęba" na tylnych nogach i bił przednimi. Oczywiście, w każdej chwili, wierzgał tylnymi. Działo się to najczęściej dlatego, że taki źrebak dopiero teraz, po raz pierwszy widział człowieka.

Gdy często są na ekranach amerykańskie filmy o mustangach,

to przypomina mi się to, że coś podobnego wysmy przeżyli. Zresztą po koniach mam bardzo miłe wspomnienia. Chociaż jedno wspomnienie jest bardzo smutne: oberwałem raz i miałem cały mostek złamany. Wynikło z tym wiele kłopotów, bo lekarza oczywiście nie było. Ale to osobny rozdział.

Jak już powiedziałem, miałem najlepsze konie. Miałem je z przydziału. Bo jeśli nawet ktoś złapał konia i nawet go obuczył to jeszcze nie znaczyło, że on go będzie miał. O tym decydował brygadzysta. Mógł go przydzielić komu innemu. Ja konie bardzo lubiłem i bardzo o nie dbałem. Nie da się ukryć - kradłem dla nich paszę. Bałem się trochę tego bo kradzież - uczono mnie tego od dziecka - była i jest czymś nagannym, bardzo nagannym. Tu, w stosunku do koni nie miałem żadnych obiekcji. Wiedziałem przecież, że konie nie są moje a w czasie gdy nimi pracuję, wywdzięczą mi się za to tym, że może uratują mnie w ciężkiej sytuacji. Dokarmałem je przy każdej okazji i tym narażałem się stajennym. Przy porannym obrzędku, przy pojeniu, moje konie sprawiały im wiele kłopotów. Przeskakiwały przez ogrodzenie i przybiegały rano ze stajni na moje podwórko, przy którym stał mój dom. Bo tam był zwyczaj, że wóz czy w zimie sanie, zostawialiśmy przed swoim domem.

Gdy miałem wiązkę siana, niby do do lepszego siedzenia, czy coś w kieszeniach /staralem się mieć kieszenie jak największe/ np. owies, który gdzieś "buchnąłem", to im dawałem. Dokarmałem kradzioną paszą już poza stajnią a na swoim podwórku. One wiedząc o tym deserze ^{chętnie} do mnie przybiegały. Stąd częste skargi stajennych do brygadzysty na moje konie. Zresztą brygadzysta najwyraźniej domyślał się wszystkiego. Oficjalnie nie robił mi z tego zarzutów. Ostatecznie nie była to wielka sztrata z tego, co gdzieś "podciągnąłem" a jednocześnie świadczyło o mojej

dbałości o powierzone mi konie.

Stąd, gdy kilkakrotnie wiozłem drzewo dla kolchozu, bo do tego muszę wrócić i wyjaśnić do końca, zawsze zdążyłem. Tam zimą przestrzeń jest dość widoczna: równina i sama biel. Droga była w zasadzie jedna. Patrolującego leśniczego z łatwością dało się wypatrzeć. On również bacznie obserwował, czy ktoś z którejś strony nie zmierza do wsi z kradzionym drzewem. Gdy już zauważył, trzeba było ostro poganiać.

Leśnikami byli tylko Kirgizi, ludzie młodzi, rośli, w stosunku do nas okazy zdrowia. Taka utarczka słowna a tym bardziej fizyczna w ogóle nie wchodziła w rachubę nawet gdyby nas tam i kilku było. Jedynym ratunkiem była ucieczka. Leśniczy czatował nie we wsi lecz patrolował wokół pasiołka. Wtedy pędziło się już nie galopem ale w cwał. Cały zaprzęg przy obciążonych saniach gnał ile sił w koniach. Aby tylko wpaść do wsi. Z tym, że zimą od strony zachodniej wieś była cała zasypana. W naszym pasiołku akurat tak było, że dwie główne ulice stanowiące podstawę litery "H" przebiegały z południa na północ. Zasyły tworzyły za domem od strony wschodniej - wnęki. Sprawa sprowadzała się do tego, żeby zdążyć wpaść w ulicę a następnie w jedną z tych wnęk. Leśniczy patrząc wzdłuż ulicy już nic nie mógł widzieć.

Jeżeli wiozło się drzewo dla siebie - bo nie zawsze wożono na potrzeby kolchozu - wtedy dojeżdżając krzyczało się głośno. Wtedy wybiegali domownicy i sąsiedzi i pomagali w maskowaniu. Zacierano nawet ślady pozostawione przez sanie /zamiatano/. Chodziło bowiem o to, żeby leśniczy, przejeżdżając ulicą nie mógł stwierdzić, w której wnęce ukryte są sanie z drewnem. Jeśli natomiast drzewo było dla kolchozu, to ucieczka już w ogrodzenie była azylem i wykluczała jakiekolwiek działanie leśnika. Stąd to wszystko było dla nas bardzo dziwne. W jakiej by się nie

było sytuacji, to naruszało się zasady prawa: albo zakaz wyrębu lasu państwowego albo - gdy się nie pojechało - niewykonanie polecenia brygadzysty, co pociągało za sobą kary i to niebagatelne, łącznie z karą postawienia przed sądem.

Utrwaliło mi się w pamięci - i to nawet dobrze - pewne wydarzenie. Swego czasu za przekroczenie planu otrzymałem jako premię prawo wykoszenia kawałka wyschniętego dna jeziora leżącego na pograniczu "kirkraju" i "Sibkraju" /chodzi o kraj Kirgizki i kraj Syberyjski/. Jezioro to stanowiło granicę między tymi krajami. Chodziło o wykoszenie młodych pędów trzciny. Jezioro wyschło a na jego dnie rosła piękna trzcina, którą było bardzo chętnie jadało. Była to doskonała pasza. Kosić mogłem w godzinach wolnych od pracy a więc późnym wieczorem lub nocą i tyle, ile będę mógł wywieźć parą wołów. I to było na mój własny użytek. Ponieważ my nie mieliśmy własnej "skatiny" /bydła/ bo nie byliśmy na prawach kołchoźników lecz na zasadach szczególnych, mogłem to upłynnić, oczywiście w ramach "tawaroobmiana" czyli handlu wymiennego.

Udało mi się. Nakosiłem bardzo słuszną furę. Mogłem to zrobić dzięki pomocy brygadzysty, bo z brygadzystami zatargów nie miałem. Dał mi parę wyjątkowo silnych wołów, za pomocą których mogłem wyciągnąć tę skoszona, zieloną trzcinę.

Wcześniej znalazłem kupca, miejscową kołchoźniczkę, która pilnie potrzebowała paszy dla swojej krowy a sama nie mogła tego zdobyć. Za to dostałem od niej materiał z konopi na "rubaszkę" czyli koszulę. Nie wiem, czy powszechnie wiadomo (czy powszechnie wiadomo) jak wygląda płótno z konopi. W naszym rozumieniu swoją twardością odpowiada brezentowi używanemu do produkcji namiotów wojskowych. Natomiast jest mniej ścisłe, ponieważ wykonuje się je ręcznie na krosnach, bardzo prymitywnych. Zresztą i przedzenie

tych nici odbywało się ręcznie. W każdym bądź razie jest to taki samodziół, z którego uszyłem sobie koszulę. I w związku z tą koszulą miałem takie wydarzenie.

Jednego razu, pamiętam, że było to u schyłku lata, miałem jakąś pracę do wykonania. W międzyczasie zajechałem do domu, w którym mieszkała moja mama z babcią i siostrą. Podczas tego krótkiego pobytu zmieniłem bieliznę. Bo trzeba wiedzieć, że będąc w brygadzie polowej tam żeśmy pracowali i nocowali. Tylko co pewien czas przyjeżdżaliśmy do domu na zmianę bielizny. Właśnie podczas takiego pobytu zmieniając bieliznę, założyłem świeżo upraną, wybiealoną na słońcu bo z nowego materiału, tę właśnie konopną rubaszkę. Ale pierwszą noc, którą spałem w brygadzie w tej nowej koszuli, zapamiętałem dobrze. Spaliśmy w ziemiance zabudowanej pryzkami na całej długości. Na pryzkach nikt nie miał stałego miejsca. Każdej nocy spaliśmy na tym miejscu, które akurat zajęliśmy. Kto wrócił ostatni, ten zajmował miejsce aktualnie wolne. Wówczas mi trafiło miejsce do spania przy kalece, miejscowym Rosjaninie. On nam trochę pomagał m.in. jako dogładowujący naszych koni i wołów. Pamiętam, że nazywał się Bezubik. Jego choroba polegała na tym, że miał znaczny niedowład jednej strony /teraz już nie pamiętam, której/ i miał bardzo odchyloną głowę do tyłu. Nawet dziwiliśmy się jak to się dzieje, że on nie pada. Z gardła wydobywał się ustawiczny charkot. Ale jego zachowanie nie było niebezpieczne dla otoczenia. Właśnie tej nocy wypadło mi przy nim spać.

Nocą, około północy, obudziłem się i poczułem coś niesamowitego: całe ciało piekło. W tym czasie byłem już uodporniony, wręcz gruboskórny, ale tym razem po prostu nie mogłem wytrzymać. Tak straszne było pieczenie na całym ciele. Już nie pamiętam, co nań ranem powiedziałem brygadziście. Jakoś się usprawiedliwiłem, że mnie nie będzie. Zdecydowałem się, że pobiegnę do domu - około

10-ciu kilometrów. Biegłem dość szybko. Gdyby mi kiedykolwiek mierzono czas, chyba wtedy pobiliłbym rekord. Moja mama - jakby coś przeczuwając - wyjrzała przez okno i zauważyła mnie w chwili, gdy dobiegałem do domu. Kiedy wpadłem na podwórko, z domu wybiegła Rosjanka /Ułana/, u której mieszkaliśmy i zawołała: Wit'ka, co z tobą? Ja na to: piecze mnie, cała koszula "chodzi". Pomogły mi, z mamą, zdjąć rubaszkę: materiału dosłownie nie było widać. Jedna wesz na drugiej. To było coś jak mrowisko. Z tym jednak, że ja w czasie biegu zorientowałem się, co się ze mną dzieje. Wiedziałem, że to sprawa tych "żyjatek", z którymi byłem już jako tako obeznany. Takiej ich ilości nie tylko że nigdy nie widziałem ale nawet sobie nie wyobrażałem, że coś takiego jest możliwe.

Okazało się, że wszy bardzo lubią świeżą bieliznę. Tam bieliznę pierze się w ługu, który wytwarza się z węgla drzewnego tzn. popiołu drzewnego. Wtedy one wszystkie jakby zbiegają się w to jedno miejsce. Tym razem tym siedliskiem byłem ja a właściwie moja rubaszka. Kiedy moja mama, Ułana i jej mama - nazywaliśmy ją Priuczyszka, przemiła, sympatyczna, ^upoad osiedziesięcioletnia staruszka - ściągnęły ze mnie koszulę, ja czym prędzej wskoczyłem do drewnianego cebrzyka z wodą, który akurat stał przy studni. Szukałem ulgi, chciałem się ochłodzić i obmyć. Zanużyłem się a kobiety obmyły mnie mydłem oczywiście takim, jakie tam było. To nie było mydło "Fa". Po jakimś czasie odczułem ulgę.

Teraz powstał problem, co robić z tą rubaszką. Nie chciałem i nie mogłem jej stracić, bo to była jedna z dwóch moich koszul, jakie w ogóle miałem. Posiadanie dwóch koszul stanowiło warunek wymiany bielizny. No i była nowa. A tu wypadła ją tylko spalić. Ale Rosjanki znalazły i na to sposób. Tam, co kilka domów są banie czyli łaźnie. W tej bani one tę koszulę prażyły: najpierw wrzą-

kiem, potem wygotowały i w ten sposób ją uratowały. Później wielokrotnie jej używałem. Ale tego wrażenia i tego szelenczego biegu jeszcze długo nie zapomnę.

Tam, w czasie wojny, mężczyźni w zasadzie nie było, bo poszli na front. Większość stanowili chłopcy i kobiety. W każdej wolnej chwili, gdy siadaliśmy odpocząć, każdy chłopak siadał przy jakiejś dziewczynie. Wybierał oczywiście najsympatyczniejszą. Kładł głowę na jej kolanach a ona "iskała" czyli tukała wszy w jego włosach. To było tam normalne jako zwykły element towarzyskiego bytowania.

Wszy żerujące we włosach są inne niż wszy bieliźniane. Te ostatnie zwalczało się w ten sposób, że po zdjęciu np. koszuli niszczyło się je w szwach. Natomiast we włosach na swojej własnej głowie trudno było samemu zrobić porządek. Poza tym niekażdy miał grzebień i nie zawsze przy sobie. Dlatego w każdej wolnej chwili siadało się przy dziewczynie, kładło się głowę na jej kolanach a ona wiedziała już, co ma robić. Bez słowa wyłapywała wszy i gnidy. W ten sposób wyrażało się coś na wzór przyjaźni.

Nadmiaru produktów żywnościowych nigdy tam nie doświadczyliśmy. Można śmiało powiedzieć, że głodowaliśmy, chociaż musieliśmy pracować. Raz dziennie była utrzymywana była łączność między pasiółkiem a brygadą polową. Rodziny mające kogoś w tej brygadzie przekazywały w "sumkach" / płócienna torba na sznurku / coś do jedzenia. Często była to butelka "bryndzy" czyli "odciągniętego" mleka, bo śmietanę oddawano państwu w ramach zobowiązań planowych. Oczywiście tak nie było codziennie. Były też jakieś, upieczone z mąki / z pośladu / coś jakby placki. Każda rodzina starała się przekazać coś do brygady, żeby tego pracującego jakoś wzmocnić. Bywało niejednokrotnie, że i ja otrzymywałem ćwiartkę takiej bryndzy.

Miałem tam kolegę. Nazywał się Kola Zajcew. Był to mój bardzo serdeczny przyjaciel. W czasie wojny został całkowitym sierotą. Jego matka zmarła wcześniej a ojciec zginął na wojnie. On dzielił się ze mną wszystkim. Jeśli zdobył dwa ugotowane kartofle, jeden oddawał mnie. I połowę bryndzy też. Drugim razem, gdy ja miałem coś, choćby tylko dwa placki, dzieliłem się z nim. Tak sobie pomagaliśmy w tych ciężkich czasach.

Niezależnie od tych regularnych ale głodowych posiłków staraliśmy się sobie pomóc. Kiedy pracowaliśmy w pobliżu Lasków, na stepie, mieliśmy dostęp do ptasich gniazd. Tam była wielka różnorodność ptactwa. Były i takie, których u nas wcale nie ma. Najwięcej tam było srok. W pobliżu jezior występowały też dzikie kaczki. W czasie pracy szukaliśmy ptasich siedzib i często wybieraliśmy jajka z gniazd. Nie zawsze były to jajka świeże: często już zasiedziały, z zapaszkami. Byliśmy tak głodni, że to nie miało już dla nas znaczenia. Wystarczyło, że to jajko przypominało jajko i to się jadło. Często, ryzykując garderobą, wdrapywaliśmy się na drzewa, aby i w ten sposób znajdować jajka do zjedzenia.

Nie wiem, czy to właśnie nie na skutek jedzenia takich jajek i tylu różnych jajek, od czasu powrotu do Polski nigdy nie zjadłem ani jajka ani nic co jajeczne, nawet ciasta. A przecież od mojego powrotu minęło przed dwoma dniami czterdzieści pięć lat. Nadal mogę jeść tylko produkty bezjajeczne. Gdy trzeba zjeść "święcone", to tylko okruszynę żółka.

Po powrocie do Polski, gdy stwierdzono, że jajka mi szkodzą, starałem się znaleźć przyczynę. Szukałem porady u lekarzy. Nie znalazłem sposobu pozbycia się tej dolegliwości. No cóż, z tym można żyć tyle tylko, że jest to kłopotliwe, bo nawet ciasta kupionego w delikatesach, które ewentualnie może zawierać jajko, już nie mogę przekonać. Podobnie sprawa ma się z lodami. Jeśli

będzie makaron na którym będzie napis, że jest on powyżej dwujajeczny, też nie dla mnie. Wtedy właśnie, przy takich potrawach odczuwałem silne bóle żołądka.

W czasie pracy Polacy jako grupa byliśmy rozproszeni, bo każdy wykonywał pracę zleconą. Jako Polacy pracowaliśmy wśród miejscowych, najczęściej Rosjan. Później, już po wybuchu wojny z Niemcami, do naszego pasiołka przesiedlono Niemców z okolic Saratowa. Byli mniej liczni ale za to z pełnymi rodzinami. Przesiedlono też wiele rodzin Ukraińskich z tym, że one przyjechały ze swoim dobytkiem. Były to również rodziny pełne. Oni byli pełnoprawnymi obywatelami Związku Radzieckiego a więc mieli pełne prawa łącznie z możliwością budowy lepianek. Mogli też - na prawach kołchoźników - hodować trzodę i bydło.

Przywieziono też Czeczeńców. Też byli nieliczni, przywiezieni z całymi rodzinami, bardzo ciekawi ludzie. Mam w związku z Czeczeńcami wiele wspomnień: i przyjemnych i nieprzyjemnych i humorystycznych.

Tuż po ich przewiezieniu mężczyznom odebrano atrybut ich stroju narodowego - kindżały /bagneciki/. Bo u nich takie bagneciki nosi się przy pasach z frędzlami, jak to opisuje bodajże Mickiewicz. Frędzle bywały ze srebrnymi okuciami. Taki pas w ich środowisku nobilituje, bowiem wskazuje na stopień zamożności jego właściciela. Taki bagnecik bardzo przypomina naszych oficerów marynarki, gdy noszą kordziki.

Przede wszystkim są to mężczyźni bardzo smagli, rośli, silni i niesamowicie wysportowani, wspaniali tancerze / w tańcu solo /. Naprawdę przyjemnie jest patrzeć na czeczeńskie tańce. Czasami ich popisy pokazuje telewizja. Oni potrafią tańczyć na piętach, rękach, w przysiadzie, odwinięci w kabłąk i wycznijający niesamowite figury. Salta w ich tańcu to nic szczególnego. Tym się tam

ocenia mężczyzn: im barsziej wysportowany, im lepszy tancerz, tym jego prestiż jest większy. I znaczenie też. W pracy są mniej wytrwali. Bardziej pracowite są ich kobiety, podobnie jak u Cyganów.

Mają też Czeczeńcy osobliwy sposób hartowania swoich dzieci. Roczne dziecko, które już chodzi, przy dwudziestostopniowym mrozie i ewentualnie niewielkim wiatyku jest wyprowadzane nago na krótki spacer. Ubrana matka prowadzi takie dziecko bosą po śniegu. Czas takiego spaceru jest odpowiednio wydłużany. Trzeba przyznać, że te dzieci jakoś to znoszą.

W całym pasie - ja tego nie pamiętam - był kilka razy lekarz "Karejec", /to taka narodowość/, ale stałej opieki lekarskiej praktycznie tam nie było. Tenże lekarz zalecił mojej mamie na szkorbut - tam zwany "cyngą" - palić "koreszki, tj. tytoń. Mama nie zaczęła. Ale ponieważ do mnie zaczęła dobierać się "cynga", ja zacząłem palić i tak palę do dziś. Bo według jego wiedzy medycznej dym tytoniowy a dokładnie nikotyna miała powstrzymywać chorobę. Tu wyjaśnię, że "koreszki" to nic innego jak tamtejszy tytoń, którego nie kupowano lecz hodowano. Ja tam przez cały czas pobytu nie widziałem ani jednego rubla. Za pracę nam płacono w naturze.

Dla nas sporym zaskoczeniem była wyjątkowa dbałość Czeczeńców o higienę. Papier toaletowy ani tam ani na Kaukazie nie był oczywiście znany. Ale w każdej rodzinie było specjalne naczynie w kształcie amfory: dolna część naczynia dość szeroka, długa szyjka i kablak biegnący prawie przez całą wysokość naczynia. W tym naczyniu była woda. Każdy wychodzący z ziemianki za potrzebą fizjologiczną gdzieś do wychodka, brał ze sobą to naczynie. Po załatwieniu się mył się. Myśmy początkowo byli zdziwieni: dokąd oni chodzą z tym dzbankiem? Potem dowiedzieliśmy się. U nich nie do pomyslenia było pójść za swoją potrzebą bez dzbanka. Pod tym wzglę-

dem Czeczeńcy byli niecodzienni.

Jak już mówiłem, my Polacy nie pracowaliśmy w jednej grupie lecz byliśmy przydzielani do prac w zależności od potrzeb. Każdy wykonywał przydzieloną mu pracę. Ale w pewnych, szczególnych okresach czy dniach, gdy wypadały np. święta kościelne, staraliśmy się zbierać i być razem. Dotyczyło to przede wszystkim tych, którzy byli na miejscu, w pasiołku. Wówczas odprawiano wspólne modlitwy. Roczne święta jak Boże Narodzenie czy Wielkanoc organizowaliśmy zbiorowo. Zresztą czy można mówić o organizowaniu świąt w atmosferze powszechnego niedostatku?

Pewnego roku, na trzy dni przed wigilią świąt Bożego Narodzenia dostałem polecenie /dotyczyło ono kilku z nas, powożących zaprzęgami/ zawieźć zboże do elewatora na stacji kolejowej Kupino, odległej od naszego pasiołka o 80 kilometrów. Ponieważ nie miałem żadnego ciepłego ubrania, sam brygadir - zdemobilizowany z wojska, kontuzjowany, bez dolnej szczęki - dał mi swój tułub /kożuch/. Był dość długi, sięgał prawie do kostek i miał duży, odkładany koźnierz. Można było nim się owinąć.

Tu muszę wyjaśnić, że w naszym pasiołku były tułuby z psich skór, nie mniej ciepłe zwłaszcza w dni wietrzne. Większość była baranich. Brygadzysta pożyczył mi taki owczy kożuch jakby w delegację a jako dietę na cztery dni otrzymaliśmy po bochenku chleba każdy z nas. Miało to starczyć na cztery dni: dwa dni tam /80 km/ i dwa dni na powrót. Był grudzień, tuż przed Bożym Narodzeniem, jak już powiedziałem. W połowie trasy był pasiołek, w którym mieszkał kółchoźnik a z nim nasz kółchoz miał umowę: nasi woźnicy mieli prawo postoju na jego podwórku, ogrzania się i możliwość zagotowania wody przez niego. Było to coś na kształt etapu.

Zboże wieźliśmy saniami, w odkrytych skrzyniach. Oznaczało to

konieczność stałego pilnowania ładunku w czasie transportu: żeby ktoś nie ukradł i żeby się nie wysypało. Musieliśmy się bowiem rozliczyć z wagi pobranej w kołchozie i z wagi zdanej w elewatorze.

Już pierwszego dnia podróży poczułem, że mam wysoką temperaturę. Oczywiście termometrów tam nie było podobnie jak zegarków. Z bochenka chleba - naszej diety - odkroiłem dwie kromki i to jeszcze pierwszego dnia zjadłem. Później nie miałem apetytu ze względu na gorączkę. Należy pamiętać, że chleb był wieszony w sumce /woreczek podobny do tego, jakiego używają nasze szkolne dzieci do noszenia kapci / i tym samym nie był zabezpieczony przed mrozem. Jego krojenie nie było takie proste. Chleb był jedną, zamrożoną bryłą. Nawet ostry nóż kroił z trudem. W środku chleba było widać lód. Stało się tak dlatego, że chleb zamarznął, gdy był jeszcze niewysuszony, świeży. Smakował nam bardzo.

Pierwszego dnia dojechaliśmy do "etapu". Tu przenocowaliśmy - pilnując na zmiany - ładunku i koni, które okrywaliśmy i karmiliśmy. Zboża pilnowaliśmy przed miejscowymi, bo zboże to łakomy kąsek. A za utratę ładunku groziły kary z więzieniem łącznie. Trudno byłoby nam przekonać władze, że zboże nam akurat ukradziono.

Drugiego dnia dojechaliśmy do Kupina. Ja czułem się coraz gorzej. Pod elewatorami, w Kupinie, mieliśmy u jednego z mieszkańców też prawo zajazdu na podwórko i noclegu / na podłodze / i gorącej wody. Drugiego dnia nic już nie jadłem. Poprosiłem kolegów, z którymi jechałem, żeby pozwolili mi pierwszemu rozładować się w elewatorze. Powiedziałem im, że chcę wracać do wsi. To było już 24-go grudnia, dzień wigilii. Odradzali mi, straszili. Mówili, że jestem desperatem - samobójcą. Mam temperaturę i grożą mi wilki.

Ja jednak uparłem się. Pierwszy zdałem zboże, pożegnałem się z kolegami i chory ruszyłem do pasiołka. Przede mną było osiemdziesiąt kilometrów. I tu spotkała mnie nagroda za szczególną dbałość o konie. Okazało się, że mogę na nie liczyć. Przebyć osiemdziesiąt kilometrów w jeden dzień - a ja zdałem zboże w elewatorze około godziny 10-tej, może jedenastej, grudniowe dni są krótkie, a na miejscu w pasiołku byłem ok. godz. 9-tej - to trzeba mieć naprawdę dobre konie. Wytrzymałe. Dojechałem szczęśliwie. Moi koledzy obawiali się wilków i realnie liczyli się z tym, że w drodze powrotnej znajdą po mnie sanie i końskie kopyta. W sposób prawie cudowny przebyłem tę niebezpieczną drogę. Konie mocno to odczuły.

Gdy wpadłem do domu, rodzina siedziała przy wigilii. Nie liczone na moją obecność - moje nakrycie i porcja były przygotowane. Radość, że wróciłem cały chociaż niezbyt zdrowy. Radość była tym większa, że zasililem wigilijny stół. Bo jak powiedziałem, z bochenka chleba /diety/ zjadłem tylko dwa plasterki a resztę przyniosłem właśnie na wigilię. W domu, na pamiętną wigilię było: Kilka ugotowanych ziemniaków, po jednej cebuli na głowę i coś jeszcze - teraz już nie pamiętam. Było to coś, co miało imitować barszcz.

Największym moim marzeniem w tych latach było dożyć takiej chwili, kiedy będę mógł najeść się do syta chleba. Najeść się tak, żeby sam powiedział: "dość". I bez względu na to, jaki ten chleb będzie. Już nie myślałem o białym. Nie musi być świeży. Aby tylko był jadalny. Żebym się najadł i czuł, że jestem syty i że resztę mogę zostawić. W pewnym okresie było to jedno z nieosiągalnych marzeń, o które najgorliwiej człowiek się modlił.

W legitymacji Związku Patriotów Polskich nam podaną datę urodzenia o rok późniejszą. Podałem rok moich chrzcin. Chodziło o to, abym zdołał uniknąć zesłania do obozów pracy lub do bry-

gad pracujących na potrzeby wojska w osiedlach leżących wprawdzie bliżej Europy ale poza rodziną. A ja nie chciałem rozstawać się z najbliższymi. Obawiałem się też, aby mnie nie wcielono do oddziałów pomocniczych Krasnoj Armii. Jeszcze nie podlegałem wcieleniu do Armii Andersa. Zresztą nie starałem się o to, bo nie chciałem zostawić rodziny. Do Kościuszkowców jakoś nie miałem zapędu. Zresztą nie podlegałem poborowi ze względu na "skręcenie" rocznika. Ale na Syberii, przed wyjazdem osiągnąłem 16-cie lat. Ten wiek wówczas tam dawał pewne prawa ale przewidywał też i obowiązki. Stąd miałem dużo kłopotów, kiedy zaczęto, przed wyjazdem, sporządzać listy wyjeżdżających. Wzywano mnie dwukrotnie a może i więcej razy i pytano: czy zamierzam wracać czy może noszę się z zamiarem pozostania tam, ponieważ uzyskałem prawie pełnoletniość. Trzeba bowiem pamiętać, że były to pierwsze lata powojenne i wiek 16-tu lat traktowano jak obecnie 18-cie. Mówiono, że mieszkam tu i pracuję jak obywatel radziecki i teraz wyrażenie przeze mnie zgody zakończy sprawę. Ja kategorycznie broniełem się. W dokumentach bowiem "skręcono" nie tylko rok urodzenia ale i miejsce urodzenia. Podano tam Koło, które faktycznie było miejscem mojego chrztu.

Był to bardzo ważny moment, bo dowodził, że nie pochodzę ze wschodnich terenów lecz z zachodniej części Polski, terenów rdzennie polskich, nie podlegających wcieleniu do Zachodniej Białorusi. W ten sposób jakoś wybroniełem się.

Z tego co dotychczas wiem, dwie polskie rodziny nie wróciły. Pozostały tam. Tu trzeba powiedzieć, że stosunek władz radzieckich do nas, Polaków, w ciągu sześciu lat, stale się zmieniał. Były okresy silnej presji po których następowało łagodzenie. Na początku byliśmy traktowani bardzo ostro. Później, po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z rządem polskim na emigracji, nastą-

piło wyraźne złagodzenie kursu. Później, po wyjściu Armii Gen. Andersa, warunki naszego tam bytowania wyraźnie zaostrzono. Było chyba jeszcze gorzej niż na początku. Przypisywano nam nawet zdradę. Mówiono, że porzuciliśmy Rosjan w bardzo trudnym momencie, kiedy to wojska niemieckie walczyły o Stalingrad. W takim momencie ich opuściliśmy i nadal jesteśmy "niebohonadioźni". Zastrzegam się, że teraz mówię o stosunku władz radzieckich do nas ~~ani~~ ludności.

Niektórzy Polacy, czy to przez nieuwagę czy też przez wygodnictwo, przyjęli obywatelstwo radzieckie. Ponieważ tereny Białostoczczyzny należały do Zachodniej Białorusi /w sensie administracyjnym/, byliśmy jakby obywatelami radzieckimi. Myśmy przed tym wzbraniali się od samego początku. Mama, na podstawie dokumentów dowodziła, że jest urodzona w Kole. Ja też, bo tak "stało" w dokumentach. Siostra i babcia też podawały jako miejsce swojego urodzenia Koło, co było prawdą. Rodzina przez cały czas zgodnie podkreślała, że my ~~by~~liśmy w Białymstoku tylko w czasie wojny, że te tereny są dla nas obce. Nie jesteśmy z Białostoczczyzną związani ani rodzinnie ani w żaden inny sposób. Bo tak naprawdę, to nasza rodzina tak ze strony matki jak i ze strony ojca pochodziła z poznańskiego.

W moim pasiołku pracowali też leningradczycy, którzy wdostali się z oblężonego miasta przez zamarznięte jezioro Ładoga. Wśród nich była kobieta, w średnim wieku, pani nadzwyczaj kulturalna, pracownica tamtejszego uniwersytetu. Była moim pomocnikiem w kołchozie /czasami/, bo niektóre prace trzeba było wykonywać we dwójkę. To właśnie od niej nauczyłem się "czystej" mowy rosyjskiej. Była pracownikiem naukowym w stopniu, który jak dziś sędzę, odpowiada w przybliżeniu naszemu docentowi. Była bardzo czytana. Właśnie od niej dowiedziałem się bardzo dużo o li-

teraturze rosyjskiej / nie radzieckiej/. Dzięki niej nie mam uż-
razu do języka rosyjskiego, czego nie mogę powiedzieć ani o ję-
zyku białoruskim ani ukraińskim. Przyznaję, że od niej nauczyłem
się wiele.

Gdy tam zajechaliśmy, funkcjonowała tamtejsza szkoła, którą
wkrótce zamknięto z braku młodzieży. Jeśli dobrze pamiętam, nie
otwarto jej do końca naszego tam pobytu. Ja nie miałem żadnej
styczności ze szkołą ani z ludźmi, którzyby w niej pracowali czy
się w niej uczyli.

Po powrocie do kraju, gdy miałem kłopoty z językiem polskim,
w czasie rozmowy automatycznie, zupełnie bezwiednie przechodzi-
łem na język rosyjski. Zwłaszcza gdy nie potrafiłem wysłowić się
po polsku. Czasami tak się zagalopowałem, że dopiero uśmiechy mo-
ich rozmówców sprowadzały mnie "na ziemię". Dopiero wówczas ka-
pałem się na tym, że nie mówię w swoim języku. Było to efektem
tego, że tam pracowałem wśród Rosjan. Znałem też kilka słów po
Kirgizku, kilka po czeczeńsku, ale to były głównie przekleństwa.
Wygłoszenie, np. po Kirgizku, długiej "wiązanki" w dodatku na jed-
nym oddechu dopiero nabierało odpowiedniej wagi.

Jedną z przyjemniejszych chwil było zakończenie wojny. Byliś-
my akurat w brygadzie polowej, w czasie prac wiosennych, akurat
na końcu zagonu, bo to było podczas orki. Zatrzymaliśmy się po
coś. Zauważyliśmy, że na drodze unosi się kurz i że ktoś pędzi
ku nam traszpanką/arbą, wózkiem kirgizkim/ i wrzeszczy: koniec
wojny ! To nie było chyba dziewiątego maja ale chyba później.
Tam nie korzystaliśmy z radia, tam go nie było. Prasy tam w ogó-
le nie widziałem. Wiadomość tę przyniósł nam ucztoczyk. Radość
była olbrzymia. Cieszyliśmy się jak dzieci, skakaliśmy. To nam da-
wało nadzieję na powrót, że może coś się zmieni. Słyszeliśmy coś
niecoś o Berlingu, o Wasilewskiej. Docierały też do nas wiadomości

ci z ambasady z Kujbyszewa za pośrednictwem mężów zaufania. Nadzieje na powrót wyraźnie wzrosły. Tak przeżyliśmy do zimy 1945-1946 roku.

Już na początku 1946-go roku zaczęto sporządzać listy osób powracających do kraju. Oczywiście za zgodą i wiedzą władz radzieckich, miejscowych. Dotyczyło to tych, którzy uparcie podkreślali swoją polskość i kategorycznie domagali się powrotu do kraju. Następnie otrzymaliśmy zaświadczenia o ewakuacji i 10-go maja 1946-go roku - w lasach jeszcze leżał śnieg, na stepie już go nie było - wyruszyliśmy furmankami z Pietropawłowki do Michajłowki, do sielsowietu. Tak rozpoczynaliśmy drogę powrotną do kraju. To było, pamiętam, w godzinach przedpołudniowych. Muszę powiedzieć, że to odbyło się dość uroczyście. Wszyscy ci, którzy mieli wolne - niektórzy wzięli sobie wolny dzień - cała chyba wieś, gremialnie nas do końca wsi odprowadzili. To był tłum.

Oczywiście był mój serdeczny przyjaciel - Kola Zajcew. Odprowadził mnie aż trzy kilometry za pasiołek. Później wracał sam pieszo.

Dojechaliśmy do Michajłowki, gdzie spotkaliśmy innych Polaków, bo do tej miejscowości kierowano nas "gwieździście". Stąd samochodami zawieziono nas do Pawłodaru. Tu, jeśli dobrze pamiętam, staliśmy około doby czekając na transport do Polski. W Białymstoku byliśmy 13-go czerwca. A wyruszyliśmy 10-go maja.

W drodze powrotnej jechaliśmy bardzo swobodnie. Wiele kilometrów przejechałem w budkach strażniczych /konwojencjich/, bo było tam więcej powietrza i rozleglejsze widoki.

W żywność byliśmy zaopatrzeni z darów "Unry". Tu koniecznie trzeba dodać, że wyżywienie wyraźnie się poprawiło w ostatnim roku. Urodzaj był niezły. Złagodzone też warunki planowych dostaw na rzecz państwa, które dotychczas, z zasady, przekraczały możli-

wości kółchozu. Takie było założenie.

Miałem też większe możliwości otrzymania - od czasu do czasu - zboża. Moja praca - i nie tylko mój - była przeliczana na "trudodni" według odpowiedniego przelicznika /współczynnika/. Za jeden dzień pracy skomplikowanej zaliczano ponad jeden trudodzień i odwrotnie. Tak się jakoś składało, że moja praca z reguły była liczona ponad trudodzień. Zresztą tam nigdy nie miałem złej opinii u przełożonych. Tak zresztą było i w Polsce do emerytury.

Jeśli Rosjanin składał podanie o przydział puda zboża /oczywiście nie pierwszej jakości/ i dostawał, to i ja też dostawałem. Nie traktowano mnie gorzej niż miejscowych kółchoźników w tych bardzo skromnych przydziałach. Stąd babcia, jak zawsze zapobiegliwa, starała się zawsze coś uszczknąć i zrobić zapas sucharów czy bułeczek. Kiedy wracaliśmy, mieliśmy woreczek takich sucharów takiej wielkości, że do niego mieściło się od 25 kg zboża. Suchary wagiły oczywiście mniej.

Wracaliśmy do kraju zasileni darami Unry. Tuż przed wyjazdem i w podróży, zupełnie nieoczekiwanie, zacząłem rosnąć. I pomyśleć, że w czasie sześciu lat pobytu tam ani drgnąłem. Sam to zauważyłem po spodniach, które miały "sześć lat a w każdej łacie dziura". Chciałem te portki przewieźć do Polski jako rekwizyt ale byliśmy się kłopotów na granicy, że szkalujemy Związek Radziecki i coś w tym rodzaju. Tym bardziej, że zapowiadano dokładną kontrolę na granicy.

Gdy przyjechaliśmy do Polski, w pierwszych dniach lipca pojechałem do Konina, gdzie mieszkał mój wujek. On, gdy tylko dowiedział się o naszym przyjeździe, zaprosił mnie listownie do siebie. W Koninie był dyrektorem miejscowego Liceum Ogólnokształcącego. Był człowiekiem mi życzliwym i uważał, że koniecznie muszę "doganiać" wykształcenie.

W drodze powrotnej, w pociągu, dużo myślałem o tym, co będę robił w Polsce i dochodziłem do wniosku, że zostanę kierowcą. Na Syberii w ostatnich latach byłem pomocnikiem kierowcy. Nie miałem żadnych oficjalnych uprawnień ale praktycznie umiałem prowadzić samochód.

Moje zamiary wzięły w łeb gdy po powrocie do kraju stwierdziłem, że moi koledzy czy to na tajnych kompletach czy w jakiś inny sposób w pierwszych latach powojennych, uczyli się. Nie mogłem dać się im zdystansować i tym chętniej pojechałem do wujka do Konina. Tam otrzymałem dobre warunki do nauki, m.in. mały pokój. Dzień kończyłem o godzinie drugiej lub trzeciej nad ranem. Czytałem przede wszystkim literaturę z poprawną polszczyzną takich autorów jak Mickiewicz czy Sienkiewicz głównie dlatego, aby przypomnieć sobie język polski. Do dziś uważam, że podstawowa wartość twórczości Sienkiewicza tkwi w tym, że pisze on bogatym, kwiecistym językiem. Jedno proste zdarzenie potrafi on tak barwnie opisać.

Często wujek budził się w nocy i mówił: kończ, idź spać. Nic dziwnego, bo przecież rano musiałem wstać na zajęcia do szkoły tak, jak każdy inny uczeń.

W tym czasie wujek został przeniesiony z Liceum Ogólnokształcącego na dyrektora szkoły spółdzielczej w Górznie pod Ostrowiem Wielkopolskim. Ta szkoła mieściła się w pałacu hrabiego Lipskiego, który był przed drugą wojną światową ambasadorem Polski w Berlinie. Właśnie w jego posiadłości zorganizowano w roku szkolnym 1946-1947 szkołę przysposobienia spółdzielczego. Była ona chyba na poziomie gimnazjum. Mnie przyjęto do niej na zasadzie wolnego słuchacza. Oczywiście dzięki wstawiennictwu wujka. Do szkoły uczęszczało m.in. dwóch przedwojennych oficerów. Młodzi - ja byłem jednym z młodszych - raczej przzerośnięta.

Do półrocza musiałem opanować materiał klasy podstawowej i ma-

teriał w tej szkole przez pierwsze półrocze przerobiony. Po półroczu miałem egzamin, który zdałem. Od drugiego półrocza zostałem przyjęty na prawach słuchacza a nie, jak dotychczas, wolnego słuchacza. Dodam, że w tej szkole nie było uczniów lecz słuchacze.

W tym czasie otrzymałem internat. Wujek się nie sprzeciwiał, bo w jednym budynku mieściły się: szkoła, internat i wujka mieszkanie. Po prostu przeniosłem się do sali ogólnej. Tu, w grupie, łatwiej mi było uczyć się. Bardzo mile wspominał ten rok nauki w tej szkole.

Niechętnie natomiast nas wypuszczono do Białegostoku. Nasz transport, tuż po przekroczeniu granicy, jeszcze w Brześciu, silnie agitowano do jazdy na tereny odzyskane. Tam zresztą kierowano nasz transport. Chodziło przede wszystkim o tereny południowo-wschodnie: województwa wrocławskie i jeleniogórskie. Myśmy się zdecydowali kategorycznie i na własną odpowiedzialność. Oczywiście tu już nas nikt nie konwojował. Zgłosiliśmy kierownikowi transportu / była to funkcja samorządowo - społeczna, osoba wybrana przez nas /, że wysiadamy i na własną rękę będziemy jechać do Białegostoku. W ten sam sposób postąpiła rodzina Promińskich, Zaczeniukowie, pani Wiewiórowa / na Syberii mieszkała w Michajłowce /, pani Kabałowa, pani Matecka, pani Ciszewska, samotna pani, była z nami na Syberii. Nie pamiętam jak to się stało, ale w latach 50-tych spotkałam ją w Gdańsku.

Czy żyje? Raczej nie, bowiem była już starszą osobą. Wróciła też z nami rodzina Niewińskich / bez Henryka, który wrócił z wojskiem /. Ryszard wrócił z nami. Jego, Ryszarda i Henryka siostra została na Syberii, tam umarła. Jej imienia nie pamiętam. Spośród osób z Pietropawłowski-p. Kokocińska-udało jej dostać się do gen. Andersa. W 1942 dostała się na Bliski Wschód. Ale tam w pias-

kach Bliskiego Wschodu zmarła. Po wojnie dotarło do Białegostoku zdjęcie z jej mogiły. Nawiasem mówiąc, była moją nauczycielką ze szkoły powszechnej w Księżynie i moją przedwojenną sąsiadką.

Odnosnie osób powracających do Polski z Syberii, w ubiegłym roku Muzeum Historyczne w Białymstoku urządziło wystawę "Sybiracy". Była tam wyłożona księga - rejestr nazwisk osób, które przebywały w Pawłodarze i okolicy pawłodarskiej. Ponieważ nie wiem, kto to dostarczył jako eksponat domyślałam się jedynie, że to któryś z Sybiraków z rejonu Białegostoku. Niemniej my, mając kiedyś spotkanie "Rodziny Katyńskiej", poprosiliśmy kierownika muzeum o jej udostępnienie. Już po zamknięciu wyjęto z gabloty ten spis tak, że mogliśmy ją oglądać. Tam właśnie odnalazłem swoje nazwisko oraz znajomych z naszego pasiołka. Odnalazłem też szwagra, który w tym czasie był z rodzeństwem. Jego ojciec - więzień Ostaszkowa - został stamtąd zwolniony, odszukał swoje dzieci, matkę właśnie tam, w Kazachstanie, w pawłodarskiej okolicy. Mówię o rodzinie Szyfmana, mojego szwagra, już nieżyjącego i jego matce.

W czasie bombardowania był ranny w prawą rękę. Ponieważ były to warunki wojenne, amputowano mu ją do samego ramienia. Od tej samej bomby zginęła jego matka. Ojciec trafił, jak mówiłem, do obozu w Ostaszkowie. Czworo dzieci: dwóch synów i dwie córki oraz babcię zabrano na Syberię. W wydaniach książkowych istnieje adnotacja "zwolniony z obozu w Ostaszkowie". Z opowiadań zmarłego szwagra wiem, że ojciec odnalazł ich w Kazachstanie. Rzeczywiście, został zwolniony z obozu w Ostaszkowie. Po odnalezieniu rodziny przebywali wspólnie w jakimś sowchozie wśród Kirgizów. Ojciec, mocno wycieńczony po obozie, nie wytrzymał i wkrótce zmarł. Został pochowany w tej miejscowości, w której oni mieszkali.

Babcia też tam zmarła. Natomiast czworo dzieci: Tadeusz, Roman, Irena i Eugenia wróciły do kraju. W czasie wywózki najmłod-

sze dziecko miało trzy lata. Po powrocie spotykałem się z nim. Wówczas on poznał moją siostrę. Latem 1952-go roku zawarli związek małżeński.

Wcześniej szwagier przebywał w domu dziecka w Gnieźnie. Dom dziecka był prowadzony przez zakon. Tam zdobył podstawowe wykształcenie a następnie zdał maturę / w 1952-gim roku/. Dopiero wówczas przyjechał do Białegostoku i ożenił się z moją siostrą. Później zachorował na nowotwór złośliwy, który stał się przyczyną jego śmierci w 1971-ym roku.

Ja, po roku pobytu w Górznie spółdzielnia "Społem" w Ostrowie Wielkopolskim zafundowała mi stypendium i zawarła umowę przedwstępną o pracę po skończeniu szkoły. Po jakimś czasie zrezygnowałem z tego a na to miejsce zaproponowałem kolegę z Małkini, który przystał na to chętnie.

Wróciłem do Białegostoku, bo tu zostały same kobiety. Chcieliśmy, żeby w dalszym ciągu rodzina trzymała się razem. Ja zacząłem pracować w spółdzielni pracowników Urzędu Wojewódzkiego a jednocześnie wstąpiłem do drugiej klasy szkoły średniej, bo po ukończeniu szkoły spółdzielczej nie musiałem przerabiać materiału klasy pierwszej. Zostałem przyjęty do drugiej klasy średniej szkoły zawodowej na wydział ekonomiczno - finansowy. Pracując i ucząc się na wieczorówce otrzymałem pracę /przeniesienie/ na pracownika urzędu wojewódzkiego w wydziale budżetowo - gospodarczym. Tam miałem świetnego kierownika, byłego żołnierza, zdobywcę Monte Cassino, Antoni Kiciołowski. Mam książkę Melchiora Wańkowicza "Monte Cassino", w której autor wiele słów poświęca i jemu, wówczas kapitanowi. On to przynosił mi konspiracyjnie wiele materiałów, rozkazów, pisanych i podpisywanych przez gen. Władysława Sikorskiego i inne osoby z dowództwa. Wspaniały człowiek. Siedziałem z nim w jednym pokoju mimo, że on był kierownikiem.

Tu pracowałem do roku 1949-go, kiedy to zostałem powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej w Ludowym Wojsku Polskim. W tym czasie skończyłem szkołę zawodową, złożyłem papiery i zostałem przyjęty do liceum ekonomicznego. To dawało ~~mat~~ maturę ale nie dawało dużej matury. Chciałem kontynuować naukę. Mama miała do mnie nawet pretensje, że czynię mało energiczne starania o odroczenie służby wojskowej aby kontynuować naukę i skończyć szkołę. Nie udało się. Zacząłem starania zbyt późno. Jak się później dowiedziałem, interweniował w mojej sprawie sam wojewoda, bez rezultatu.

Na czas wcielenia przyjechał "kupiec" z pierwszej dywizji z pierwszego pułku artylerii lekkiej i wybierał kandydatów do tego pułku. Nie wiem dlaczego, ale nie zgodził się na zwolnienie tym bardziej, że pierwsza dywizja miała pewien pryncypał. Oni wybierali od 170-ciu cm a ja miałem akurat tyle. Przy wyborze wojsko zwracało uwagę na życiorysy. Ja nie należałem do żadnej organizacji, nawet młodzieżowej. "Przyłapał" mnie. Wspominam to nawet ~~nie~~. W stosunku do mnie odnosił się jakoś miło i spokojnie. Do jednostki jechaliśmy w jednym przedziale. Ponieważ od dnia powołania nocowaliśmy w RKU, nie nocowałem na wspólnej sali. Zaprosił mnie do hotelu wojskowego gdzie razem nocowaliśmy.

W wojsku służyłem "trochę" długo, bo trzy lata. Skierowano mnie, jak przekazywał nasz "kupiec", komendantowi kwarantanny. Taką tygodniową kwarantannę należało przejść po wcieleniu. Już na pierwszej zbiórce ~~mi~~ ^{mi} wystąpić. Kazał też dobrać kolegę z Białegostoku i przekazał nas komendantowi. Pod taki specjalny nadzór. Skierowano nas na szkołę podoficerską. W dwa miesiące przeniesiono mnie do pracy w kwatermistrzostwie. Okazało się, że tam wojsko będzie miało ze mnie większy pożytek niż dotychczas. Okazało się, że na tym stanowisku zatrudniano

akurat chorowitego frontowca jako szefa zaopatrzenia żywnościowego i potrzebny był zastępca szefa zaopatrzenia jednostki. Powierzono mi tę funkcję, także wtedy miałem stopień podoficerski. Mimo tego, że jeszcze wtedy nie miałem pełnej matury. Kiedy skończyła się szkoła podoficerska, wtedy dostałem stopień plutonowego i to przed zakończeniem służby czynnej, co wówczas było rzadkością.

Byłem żołnierzem pierwszej dywizji Pierwszego Berlińskiego pułku artylerii lekkiej. Drugi nasz marszałek - bo pierwszym był Rola - Zymierski, wówczas mnie do wojska wcielano - Konstanty Rokossowski stwierdził / był marszałkiem Polski od października 1949-go roku /, że pierwsza dywizja i wszystkie pierwsze pułki on chce widzieć na pierwszym miejscu nie z racji nazwy, ale pod każdym względem, zwłaszcza wyszkolenia i dyscypliny. Stąd wszystkie główne uroczystości państwowe jak 1 Maja czy 22 Lipca nasza jednostka musiała obsługiwać. Czasami ja pozostawałem na pozostałości w jednostce. Gdy jechaliśmy na zgrupowanie na dwa tygodnie przed defiladą, zgrupowanie odbywało się najczęściej w Warszawie na Bemowie lub gdzie indziej, czy to przed świętem 22-go Lipca czy wtedy, gdy było odsłonięcie pomnika Dzierżyńskiego - w 1951-ym roku - to całe to zgrupowanie które tam wówczas było i jednostki artylerii było podporządkowane naszej władzy żywnościowej. W ocenie okręgu nam udało się układać dobre, urozmaicone jadłospisy. Chwalono je za kaloryczność, odpowiedni skład chemiczny tym bardziej, że były badane przez lekarzy jeszcze przed zamknięciem jadłospisu dziesięciodniowego. W tym był niebagatelny mój udział, chociaż w domu ja zawsze byłem otoczony kobietami. Nie znałem się zbyt na tym. Jednak w wojsku podszkoliłem się, przynajmniej teoretycznie w sztuce kulinarnej w oparciu o podręczniki. Podobno z tym dawałem sobie świetnie radę. *Notowane: wspominał Działo*

Listy Czesława Sucharskiego do żony Ireny, pisane z obozu
w Kozielsku.

List pierwszy.

Dn. 22 XI 39

Najdrożsi !

Te kilka słów, za którymi zapewne czekacie z niecierpliwością, niech Was zapewnią i uspokoją. Cały jestem i zdrow jak ryba. Przechodziłem lekką grypę, lecz ta przeszła szybko i bez następstw. Obecnie przy pięknej pogodzie hartuję się. Zresztą o sobie nie mam co pisać. Chciałbym raczej wiedzieć co się z wami dzieje. Irenko droga ! Odpowiedz mi na takie pytania: 1. Czy wszyscy jesteście zdrowi? 2. Czy macie możliwość egzystencji? 3. Czy Guśka uczęszcza do gimnazjum Jabłonowskiej, czy dobrze się uczy i jak dojeżdża? 4. Czy Kubuś jest Ci zawsze posłuszny? 5. Czy Janusz wrócił i gdzie się uczy? 6. Czy zaopatrzyłaś się w opał na zimę? 7. Czy na moim miejscu w szkole uczy kto inny, czy uczą w zmniejszonym składzie? Będę szczęśliwy jak mi odpowiesz lakonicznie i wyłącznie na te pytania.

Dzieci moje drogie ! Proszę was nade wszystko, bądźcie grzeczne i posłuszne mamusi ! Nie chciałbym kiedykolwiek dowiedzieć się, że przyczyniacie Mamusi zmartwień i kłopotu. A kiedy wrócę do Was to chcę z Was być dumnym.

Jeszcze jedno. W razie gdyby Ci Ireczko było zbyt ciężko to z całym zaufaniem zwróć się do ludzi z prośbą o wskazówki lub pomoc. Zwróć się do Zaczeniuków, sądzę, że oni nie odmówią.

Polecając Was opiece Boskiej całuję mocno, mocno !

Pozdrowienia dla pani Kokocińskiej, p. Bogdanowicz, pp. Banulewiczów, gospodarzowi domu i znajomym.

Wasz na zawsze Czesiek

PS. Irenko ! Jeśli możesz przyslij mi pocztą 1 parę bielizny cieplej i jakakolwiek w gorszym gatunku, spodnie do butów.

Pisz na adres: S.S.S.R. Smoleńskaja obłast'gor. Kozielsk, poczt. Jaszczyk N.12, Czesław Stanisławowicz Sucharskij./adres napisany po rosyjsku/.

List drugi.

Dn. 26 XII 39

Piszę do Was po raz drugi. Nie wiem dlaczego mi nie odpisujecie. Chyba list doszedł? Mam niezłomną nadzieję i pewność, że jesteście zdrowi i jakoś żyjecie. Prawda? Co do mnie to jestem zdrow zupełnie tylko tęsknota za swoimi źre niemiłosiernie. Jak ptak chciałby skrzydełkami wyfrunąć z klatki tak ja chciałbym znaleźć się każdej chwili w swoim gniazdku. Możliwe, że niedługo ujrzę Was, chciałbym zdrowych i całych, a dzieci we wszystkim swej matce posłusznych. Tylko w ten sposób sprawicie mmi Najdroższa dzieciarnio radość i dumę, a rozłąka z Wami da ukojenie serca.

Już po wieczery, już po świętach po urodzinach i imieninach mej drogiej Pani. Lećz przyjmij Irenko choć najgorętsze życzenia, a z nowym rokiem, szczęść nam wszystkim Boże ! Załączam pozdrowienia miłemu sąsiedztwu z tego samego podwórka, gospodarzom, Banulewiczom, Michałowi, Nowakowi oraz dzieciarni szkolnej, szczególnie mym wychowankom. Myślą i sercem jestem zawsze z nimi. Chciałbym aby i oni o mnie czasem wspominałi.

Ireczko, Ty możesz częściej / nie tylko raz na miesiąc /
pisać do mnie. Pisz jednak tak, aby list nie był za "ciężki" /.../

List trzeci

Dn. 8 II 40 r.

Najukochańsza Ireczko !

/.../ Otóż otrzymana od Ciebie droga, pocztówka sprawiła mi wielką radość a obok tego ból serdeczny. Rozumiem w jak ciężkim położeniu zostawiłem Was, a żadnej pomocy Wam dać nie jestem w stanie. Trwajcie uporczywie, a jakoś przeżyjecie. Ja przecież kiedyś wrócę do domu. Wyprzedaj co możesz, z garnatów czy mebli, aby żyć. W pierwszym moim liście prosiłem Cię o przesyłkę - paczkę. Otóż nie przysyłaj mi nic. Nie potrzebuję, obejdę się. Jeśli przygotowałaś już te spodnie to teraz sprzedaj je i kup za to do życia. Trudno, nastał czas rozłąki, a jednocześnie próby wytrzymałości życia. Wierzę, że z zaciśniętymi zębami nie dasz się ugiąć biedzie. Wierzę, że wegetując wytrwasz ! A kiedy wrócę do Was, znów będziemy cieszyć się wspólnym rodzinnym życiem.

/.../ Ireczko droga ! Pozwól, że zwrócę się w tym liście do koleżeństwa. Wiem, że to ostateczność jednak konieczna ! Chciałbym aby mi tego za złe nie poczytano. Pani Jadwigo, Panno Stacho, Panie Henryku ! Dozgonną wdzięcznością w stosunku do Was zostanę związany za każdy życzliwy z Waszej strony gest pomocy materialnej czy moralnej okazany mojej rodzinie. W jakiej postaci i rozmiarach nie śmiem określać. W granicach Waszej możliwości. Żebrzę o to jak

ostatni dziad. Może kiedyś odwdzięczę się za to. Proszę nie brać mi tego za złe !

/.../ Żałuję, że żadnej fotografii z domu nie zabrałem. Czuje się jak sierota. Edward Niewiarowski przesyła pozdrowienia swemu bratu Piotrowi / przez babcię Jakubowską / i prosi go jeśli to możliwe o paczkę z ciepłą bielizną i skarpetami. Łatacz Antek śle pozdrowienia dla p. Stachy i pyta się co się stało z Władeczkim? Szczęsny prosi Janusza o wiadomość czy był już w leśniczówce a jeśli nie to niechby listownie to zrobił co obiecał i zawiadomił go / Szczęsnego / na mój adres. A czy wiecie co o Anielce, Franii, bratanku i Beniu M.? Co porabiają i jak się czują? Ślę pozdrowienia p. Lampemu, a za przypiski na pocztówkach bardzo dziękuję ! Co słyhać o Jego immienniku? Polonista Orłowski też tu jest.

List Czwarty

Kozielsk dn. 5 III 40 r.

Najdroższa ma Ireczko !

/.../ Sprawa chleba powszechnego na dziś spędza mi sen z powiek, kieruję wzrok i myśli na Zachód - do Was, Najdrożsi. Mijają tygodnie i miesiące a ja nic Wam pomóc nie mogę. Śnicie mi się często, bardzo często, bardzo często. Czasem sen taki uspokaja, innym znów razem niepokoi i drażni. Myślę, modlę się co wieczór, to tylko co mi pozostało, tyle tego czem Wam pomóc mogę. Jeśli chodzi o moją osobę, to jestem zupełnie zdrow, nad podziw wytrzymały. Tutejsze mrozy / sięgały około 19 stycznia / o nasileniu 44 stopni minus nie przeraziły mię tak, jak dwudziestostopniowe w kraju. Chodzę w drelichach / mundurze polowym / mocno sfatygowynach, myję się często na dworze, w śniegu i nic mi nie jest. Nawet ka-

taru nie mam. Obecnie widzę, że można się obyć bez kożucha, bez kaloszy, słowem bez wielu, bardzo wielu rzeczy. Może nie tyle mróz ile myśl - troska o Was, że Wy tam głodujecie hartuje mię. Życzyłbym sobie jednak byście Wy takiego hartu nigdy nie zaznali.

Na zakończenie ślę Wam, Drodzy życzenia świąteczne - Zmartwychstania Pańskiego, wiele zdrowia i otuchy w lepsze jutro. Przy dzieleniu się jajkiem wspomnijcie też o mnie.

Serdeczne pozdrowienia ślę też koleżestwu, sąsiedztwu i wszystkim życzliwym ham osoboom. Również pp. Nowakom, Michałowski, i p. Lempemu.

Czesiek.

Notatki: Stanisław Ziarno